

MARCEL PROUST

W CIENIU
ZAKWITAJĄCYCH
DZIEWCZĄT, TOM
PIERWSZY

Marcel Proust

**W cieniu zakwitających
dziewcząt, tom pierwszy**

«Public Domain»

Proust M.

W cieniu zakwitających dziewcząt, tom pierwszy / M. Proust —
«Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom pierwszy	5
Конец ознакомительного фрагмента.	26

Marcel Proust

W cieniu zakwitających dziewcząt, tom pierwszy

Tom pierwszy

Kiedy była mowa o tym, aby zaprosić pierwszy raz pana de Norpois na obiad, matka wyraziła żal, że profesor Cottard jest w podróży i że się tak rozchwiały stosunki ze Swannem, bo i jeden i drugi zainteresowałby z pewnością byłego ambasadora. Na co ojciec odpowiedział, że człowiek wybitny, znakomity uczony, jak Cottard, zawsze może być ozdobą stołu; ale Swann, ze swoją manią puszenia się i przechwalania byle znajomościami, jest pospolity bufon, o którym margrabia de Norpois orzekłby z pewnością, że – aby użyć jego wyrażenia – „cuchnie”.

Ta odpowiedź ojca wymaga paru słów objaśnienia, niektórzy bowiem przypominają sobie pana Cottard jako bardzo mierną figurę, Swanna zaś jako człowieka posuwającego do najdalszych granic skromność i dyskrecję towarzyską. Ale, co się tyczy Swanna, zdarzyło się, że do „młodego Swanna”, a także do Swanna z Jockey Clubu, dawnego przyjaciela rodziców, przybyła nowa (i nie ostatnia jeszcze) osobistość: – Swann jako mąż Odety. Przystosowując do niewysokich ambicji tej kobiety instynkt, pasję, spryt, które zawsze posiadał, Swann silił się zbudować, o wiele poniżej swojej dawnej sfery, nową pozycję, dostosowaną do towarzyski życia mającej ją z nim dzielić. Otóż w tej sytuacji Swann był jak gdyby innym człowiekiem. Bywając wciąż na własną rękę u swoich osobistych przyjaciół, którym nie chciał narzucać Odety, skoro sami nie objawiali chęci poznania jej, równocześnie rozpoczynał z żoną nowe życie wśród nowych ludzi; można by tedy zrozumieć, że, dla określenia ich stanowiska, a tym samym własnej satysfakcji czerpanej w obcowaniu z nimi, posługiwał się, jako punktem porównania, nie ludźmi najświetniejszymi, stanowiącymi przed małżeństwem jego sferę, lecz poprzednimi stosunkami Odety. Ale, nawet kiedy się wiedziało, że dzisiejszy Swann łącznie znajomości z dość obskurnymi urzędnikami, z wątpliwymi damami – ozdobą ministerialnych balów – można się było zdumieć, iż on, który niegdyś – a nawet jeszcze dzisiaj – tak wykwintnie ukrywał jakieś zaproszenie do Twickenham albo do Buckingham Palace, chełpi się głośno, że małżonka jakiegoś zastępcy naczelnika wydziału rewizytowała jego żonę. Powie może ktoś, że poprzednia prostota wytwornego Swanna była jedynie wyrafinowaną formą próżności i że, jak się zdarza u Izraelitów, ten dawny przyjaciel moich rodziców mógł streszczać kolejne etapy ludzi swojej rasy, od prymitywnego snobizmu i pospolitego chamstwa aż do najwyrafinowanej grzeczności. Ale główną przyczyną – i tę można przypisać ludzkości w ogóle – było to, że nawet nasze cnoty nie są czymś luźnym, płynnym, czym możemy zawsze rozrządzać do woli; zespalają się one w końcu tak ściśle w naszym umyśle z czynnościami, które nam je nałożyły, że, o ile się nastęrczy aktywność innego rodzaju, zastaje nas ona nieprzygotowanych, i nawet nam na myśl nie przychodzi, że mogłaby się kojarzyć z działaniem tych samych zalet. Swann, zabiegający o te nowe stosunki i chełpiący się nimi, był jak owi wielcy a skromni artyści, którzy, skoro pod koniec życia zapalą się do kuchni lub ogrodnictwa, objawiają naiwne zadowolenie z pochwał, jakimi ktoś darzy ich potrawy lub ich grządki; w tym przedmiocie nie dopuszczają krytyki, którą znoszą tak łatwo, gdy chodzi o ich arcydzieła; inni znowuż, hojnie rozdając swoje obrazy gratis, nie umieją pogodnie znieść parofrankowej przegranej w domino.

Ale profesora Cottard ujrzymy na dłużej, znacznie później, u „pryncypałki”, w posiadłości jej la Raspeliere. Na razie niech w jego przedmiocie wystarczy jedna uwaga, w zestawieniu ze Swanem. Co się tyczy Swanna, odmiana jego może ostatecznie zdziwić, ile że się spełniła bez mojej świadomości wówczas, gdy widywałem ojca Gilberty na Polach Elizejskich, gdzie zresztą nie odzywał się do mnie,

¹ *wyrafinowańszy, najwyrafinowańszy* – dziś popr.: bardziej wyrafinowany, najbardziej wyrafinowany. [przypis edytorski]

nie mógł się tedy popisywać przede mną swymi stosunkami w świecie oficjalnym. (Prawda, że gdyby nawet to robił, nie byłbym się może zaraz poznał na jego próżności, pojęcie bowiem, jakieśmy sobie od dawna wytworzyli o danej osobie, zamyka nam oczy i uszy: tak np. matka moja przez trzy lata nie spostrzegła, że jedna z jej siostrzenic maluje sobie usta; zupełnie tak jak gdyby szminka rozpuściła się nieznacznie a doszczętnie w jakimś płynie, aż do dnia, w którym nadmiar barwiczki lub inny jakiś powód wywołał zjawisko zwane przesyconieniem; cała wprzód niezauważona szminka skryształizowała się i, wobec tej nagłej rozpusty barw, matka oświadczyła – stylem Combray – że „to ohyda”, zrywając niemal wszelkie stosunki z siostrzenicą). Przeciwnie, co się tyczy pana Cottard, epoka, w której ukazaliśmy go świadkiem pierwszych kroków Swanna u państwa Verdurin, była już dość odległa; otóż, zaszczyty i tytuły przychodzą z wiekiem; po wtóre, można być niewykształconym literacko, robić idiotyczne kalambury, a posiadać swoisty dar, którego nie zastąpi żadna ogólna kultura; dar wielkiego wodza lub wielkiego klinicysty. Koledzy patrzyli na Cottarda nie tylko jak na pokątnego praktyka, który się stał z czasem europejską sławą. Najinteligentniejsi młodzi lekarze oświadczały – bodaj przez kilka lat, bo mody się zmieniają, zrodziwszy się z potrzeby zmiany – iż gdyby się im zdarzyło zachorować, jednemu Cottardowi oddaliby się w ręce. Bez wątpienia, woleli towarzystwo innych profesorów, bardziej czytanych, wyrobionych artystycznie, z którymi można było mówić o Nietzschem, o Wagnerze. Kiedy muzykowano w dniu przyjęć u pani Cottard, która przyjmowała kolegów i uczniów męża w nadziei, że profesor zostanie kiedyś dziekanem, on sam, zamiast słuchać, wolał grać w karty w sąsiednim pokoju. Ale chwalono szybkość i przenikliwość jego spojrzenia, pewność jego diagnozy.

Po trzecie, co się tyczy wzięcia profesora Cottard, oglądanego oczami człowieka takiego jak mój ojciec, zauważmy, że natura, jaką ujawniamy w drugiej połowie życia, nie zawsze jest – choć i to bywa – pierwotną naszą naturą rozwiniętą lub zmarniałą, zgrubiałą lub zwątloną; czasem jest to natura wręcz przeciwna, niby przenicowane ubranie. Z wyjątkiem państwa Verdurin, którzy się rozkochali w doktorze, niepewna mina Cottarda, jego nieśmiałość, jego nadmiar uprzejmości, ściągały nań od młodu wieczne przycinki. Któryż miłosierny przyjaciel doradził mu minę lodowatą? Powaga stanowiska ułatwiła mu przybranie tej miny. Wszędzie, z wyjątkiem salonu państwa Verdurin, gdzie bezwiednie stawał się z powrotem sobą, Cottard robił się zimny, rozmyślnie milczący, apodyktyczny, gdy trzeba było zabrać głos, przy czym nie omieszkał mówić ludziom przykrych rzeczy. Mógł wypróbować to nowe wzięcie na pacjentach, którzy, nie znając go wprzód, nie mogli robić porównań i byłiby bardzo zdziwieni, dowiadując się, że szorstkość profesora nie płynie z jego natury.

Silił się zwłaszcza na chłód, i nawet podczas wizyty szpitalnej, popełniając jeden z owych kalamburów, które rozśmieszały wszystkich, od pierwszego asystenta do najmłodszego eksterna, robił to zawsze tak, aby ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy, zmienionej zresztą do niepoznaki przez zgolenie brody i wąsów.

Powiedzmy na zakończenie, kim był margrabia de Norpois. Był przed wojną ministrem pełnomocnym, ambasadorem z 16 maja, mimo to, ku zdumieniu wszystkich, nieraz od tego czasu reprezentował Francję w specjalnych misjach, nawet jako kontroler długu publicznego w Egipcie, gdzie, dzięki swoim finansowym zdolnościom, oddał ważne usługi. Używały go do tych celów gabinety radykalne, którym prosty mieszczanin-reakcjonista wzdragałby się służyć, a które powinny by były zachować podejrzliwość wobec przeszłości pana de Norpois, wobec jego stosunków i przekonań. Ale ci postępowi ministrowie zdawali sobie widocznie sprawę, że taką nominacją okazują, jak daleko sięga ich szerokość poglądów, gdy chodzi o dobro Francji; tym samym wysuwali się na czoło polityków, zyskując to, że nawet sam „Journal des Debats” mienił ich mężami Stanu; przy czym korzystali i z uroku arystokratycznego nazwiska, i z sensacji nieoczekiwanego wyboru. Wiedzieli zarazem, że, powołując pana de Norpois, mogą zebrać wszystkie korzyści, nie potrzebując się obawiać z jego strony uchybienia lojalności politycznej; urodzenie margrabiego, zamiast go czynić podejrzanym w tej mierze, było im raczej rękojmią. I w tym rząd Republiki nie mylił

się. Arystokraci pewnego typu przywykli od dziecka uważać swoje nazwisko jako² organiczną właściwość, której nic nie może wydrzeć, a której wartość równi im lub jeszcze wyżsi znają dość dokładnie; tacy wiedzą, że mogą sobie oszczędzić daremnych wysiłków, jakich, przeważnie bez rezultatu, dokłada tylu mieszczan, aby wyznawać jedynie poglądy dystyngowane lub przestawać z osobami „dobrze myślącymi”; w zamian za to, pragnąc się podnieść w oczach rodzin magnackich, poniżej których znajduje się bezpośrednio, arystokracja ta wie, że może to osiągnąć jedynie dodając do swego nazwiska coś, czego ono nie posiadało, a co, przy równej wartości nazwisk, przeważa szale na ich korzyść: wpływy polityczne, sławę literacką lub artystyczną, wielki majątek. Obojętni dla bezpożytecznego szlachciury, cenionego przez mieszczaństwo, a nieprzynoszącego im swoją jałową przyjaźnią żadnego prestige'u³ w oczach magnatów, karierowicze ci zachowują wszystkie swoje względy dla ludzi politycznych, choćby masonów, którzy mogą im pomóc do uzyskania ambasady lub mandatu; dla artystów lub uczonych, zdolnych poparciem swoim ułatwić „wypłynięcie” w sferze, w której królują; dla wszystkich wreszcie mogących im użyzyć nowego blasku lub pomóc do bogatego małżeństwa.

Ale, co się tyczy pana de Norpois, miał on za sobą przede wszystkim to, że w długiej praktyce dyplomatycznej nasiąkł owym duchem negatywnym, rutynicznym, konserwatywnym, zwanym „duchem rządu”, a będącym w istocie duchem wszelkich rządów, w szczególności zaś, pod wszelkimi rządami, duchem biurokracji. Nabył w dyplomacji wstrętu, lęku i wzdargy do owych mniej lub więcej rewolucyjnych, a co najmniej niepoprawnych metod, jakimi są metody opozycji. Z wyjątkiem pewnych prostaków z ludu i z „towarzystwa”, dla których różnice gatunków są martwą literą, zbliża ludzi nie jedność przekonań, lecz powinowactwo ducha. Akademik typu pana Legouvé, zwolennik klasyków, chętniej oklaskiwałby pochwałę Wiktora Hugo wygłoszoną przez Maksyma du Camp lub pana de Mézières, niż pochwałę Boileau w ustach Claudela. Nacjonalizm wystarczy, aby zbliżyć Barrèsa do jego wyborców, którzy nie robią zapewne różnicy między nim a panem Georges Berry; ale nie wystarczy, aby go zbliżyć do tych jego kolegów z Akademii, którzy, posiadając wspólne z nim przekonania, ale inną umysłowość, będą woleli od niego nawet przeciwników, jak panowie Ribot i Deschanel; a z tymi znowuż wierni monarchiści czują się o wiele bliżej niż z Maurrasem i Leonem Daudet, również pragnącymi powrotu króla.

Skąpy w słowach nie tylko przez zawodowy nawyk ostrożności i umiaru, ale także dlatego że słowa mają większą cenę, że przedstawiają więcej odcieni w oczach ludzi, których dziesięcioletnie wysiłki dla zbliżenia dwóch krajów streszczają się i wyrażają w przemówieniu, w protokole – prostym przymiotnikiem, banalnym na pozór, ale dla nich zawierającym całe światy, pan de Norpois uchodził za bardzo chłodnego w komisji, gdzie zasiadał obok mego ojca i gdzie każdy wieszował ojcu przyjaźni eks-ambasadora. Przyjaźń ta dziwiła nawet ojca. Z natury niezbyt uprzejmy, przywykł do tego, że nie cieszy się popularnością poza kręgiem bliskich znajomych i przyznawał się do tego z prostotą. Miał świadomość, że w życzliwości dyplomaty grał rolę moment na wskroś indywidualny, rozstrzygający o ludzkich sympatiach; ile że najcenniejsze przymioty umysłu lub serca u osoby, która skądinąd nudzi nas lub drażni, mniej będą dla nas warte niż swoboda i wesołość innego człowieka, dla wielu znowuż czcze i puste.

– Norpois zaprosił mnie znowu na obiad; to nadzwyczajne; wszyscy zdumieni są w komisji, gdzie nie utrzymuje z nikim stosunków osobistych. Jestem pewien, że znów mi opowie wstrząsające rzeczy o roku 1870.

Ojciec wiedział, że jedyny może pan de Norpois ostrzegał był swego czasu cesarza o rosnącej potędze i o wojennych zamiarach Prus i że Bismarck miał jego inteligencję w osobliwej cenie. Świeżo jeszcze, w Operze, podczas gali na cześć króla Teodozjusza, dzienniki zauważyły długą rozmowę, jaką monarcha ów zaszczylił pana de Norpois.

² *uważać coś jako* – dziś popr.: uważać coś za. [przypis edytorski]

³ *prestige'u* – dziś popr. zapis spolszczony: prestiżu. [przypis edytorski]

– Muszę się dowiedzieć, czy ta wizyta króla jest naprawdę czymś ważnym – rzekł ojciec, który bardzo się interesował polityką zagraniczną. – Wiem, że stary Norpois nie jest skłonny do wynurzeń, ale ze mną tak się rozkrochmała!

Co się tyczy matki, być może iż z natury nie przepadała za rodzajem inteligencji, który reprezentował eks-ambasador. Godzi się rzec, iż konwersacja pana de Norpois była tak kompletnym repertuarem przestarzałych form wysłowienia, właściwych pewnemu zawodowi, pewnej klasie i epoce – epoce, która, dla tego zawodu i dla tej klasy, nie była może tak zupełnie minioną – iż żałuję czasami, że nie zapamiętał po prostu i dosłownie jego rozmów. Byłbym wówczas osiągnął wrażenie zamierzchłej mody równie tanim kosztem i w ten sam sposób, co ów farsowy aktor, który, pytany, skąd bierze swoje kapelusze, odpowiedział: „Ja ich nie biorę, ja je przechowuję”.

Słowem, sądzę, że matce wydawał się pan de Norpois nieco antyczny, co nie raziło jej bynajmniej z punktu widzenia manier, ale mniej zachwycało ją w dziedzinie nie poglądów – bo poglądy pana de Norpois były bardzo nowoczesne – lecz wyrażień. Czuła jednakże, że mile głaszcze męża, mówiąc z zachwytem o dyplomacie, który darzył go tak rzadkim wyróżnieniem. Utrwalając w umyśle ojca jego dobre mniemanie o panu de Norpois i wzmacniając w nim przez to jego dobre mniemanie o sobie samym, matka miała uczucie, że spełnia jeden ze swoich obowiązków, polegający na tym, aby umilać życie mężowi, jak to czyniła czuwając nad tym, aby kuchnia była wyborna, a usługa cicha. Że zaś była niezdolna skłamać ojcu, ćwiczyła się sama w podziwie dla ambasadora, aby go móc szczerze chwalić. Ceniła zresztą w panu de Norpois wyraz dobroci, uprzejmość trochę niemodną i tak wyszukaną, kiedy np. idąc i prostując swoją wysoką postać, spostrzegłszy matkę jadącą powozem, zanim się jej ukłonił, odrzucał ledwie napoczęte cygaro; rozmowę tak pełną umiaru, w której mówił jak najmniej o sobie i zawsze liczył się z tym, co może być najprzyjemniejsze partnerowi; zdumiewającą wreszcie punktualność w odpowiadaniu na listy. Czasami, kiedy, ledwie wysłałszy list, ojciec otrzymywał kopertę z pismem pana de Norpois, pierwszą jego myślą było, że nieszczęśliwym wypadkiem listy ich się zmięły; można by sądzić, że dla pana de Norpois poczta wybiera listy w nadliczbowych godzinach! Matka zdumiewała się, że margrabia jest tak akuratywny, mimo iż tak zajęty, że jest tak uprzejmy, chociaż tak rozrywany, nie myśląc, że wszelkie „mimo” jest zawsze zapoznanym „ponieważ”, i że (tak samo jak starcy są zdumiewający na swój wiek, królowie pełni prostoty, a mieszkańcy prowincji *au courant*⁴ wszystkiego) te same przyzwyczajenia pozwalają panu de Norpois czynić zadość tylu zajęciom i być tak akuratywnym w odpowiedziach, być miłym w wielkim świecie i uprzejmym dla nas. Co więcej, błąd mojej matki, jak u wszystkich osób zbyt skromnych, pochodził stąd, że rzeczy, które dotyczyły jej, kładła poniżej innych, tym samym poza innymi. Szybka odpowiedź, którą poczytywała za zasługę przyjacielowi ojca, dlatego że miał w ciągu dnia dużo listów do napisania, wyłączała z owej mnogości, w której ten list był tylko jednym więcej; tak samo nie zastanawiała się, że obiad u nas był dla pana de Norpois jednym z niezliczonych obrzędów jego życia towarzyskiego; nie przychodziło jej na myśl, że ambasador z dawna przywykł w dyplomacji uważać proszone obiady za część swoich funkcji i rozwijać na nich zastarzały wdzięk, z którego nie miał powodu wyzuć się specjalnie, będąc na obiedzie u nas.

Pierwszy obiad z panem de Norpois, w roku, gdy jeszcze chodził się bawić na Pola Elizejskie, pozostał mi w pamięci, bo popołudniu tego samego dnia ujrzałem wreszcie Bermę w *Fedrze*, a także bo w rozmowie z panem de Norpois zdałem sobie nagle sprawę, jak dalece uczucia moje we wszystkim, co tyczyło Gilberty Swann i jej rodziców, różnią się od uczuć, jakie ta rodzina budzi w kimkolwiek innym.

Zapewne widząc przygnębienie, w jakim mnie pogrążyły nadchodzące ferie noworoczne, podczas których – jak mi to Gilberta sama oznajmiła – nie miałem jej widzieć, jednego dnia, aby mnie rozerwać, matka rzekła:

⁴ *au courant* (fr.) – na bieżąco. [przypis edytorski]

– Jeżeli wciąż masz jeszcze wielką ochotę urzucić Berme, sądzę, że może ojciec pozwoliłby ci iść z babką do teatru.

To pan de Norpois powiedział ojcu, że powinien by mi pozwolić zobaczyć Berme, że to jest dla młodego człowieka cenne wspomnienie. Ojciec, dotąd przeciwny temu, abym miał tracić czas i narażać się na chorobę dla rzeczy, którą, ku zgorszeniu babki, nazywał głupstwem, skłonny był – pod wpływem uwagi ambasadora – uznać ten wieczór w teatrze za nieokreśloną część całokształtu cennych przepisów wiodących do świetnej kariery. Babka, która, wyrzekając się dla mnie korzyści, jaką, wedle niej, byłoby dla mnie widzieć Berme, robiła wielką ofiarę dla mego zdrowia, dziwiła się, że ten взгляд stał się nagle nieważny na jedno słowo pana de Norpois. Pokładając niezłomne nadzieje racjonalistki w świeżym powietrzu i we wczesnym chodzeniu spać, które mi zalecano, bolała nad wyłomem w owym trybie i powtarzała ojcu: „Jakiś ty lekkomyślny!”. Na co ojciec, wściekły, odpowiadał: „Jak to! więc teraz mama nie chce, żeby on szedł do teatru! To paradne, a cały czas powiadała mama, że to będzie dla niego z pożytkiem”.

Ale pan de Norpois odmienił intencje ojca w rzeczy o wiele dla mnie ważniejszej. Ojciec zawsze pragnął, abym został dyplomata, ja zaś nie mogłem znieść myśli, iż, nawet gdybym miał spędzić jakiś czas w „centrali”, byłbym narażony na to, że mogliby mnie wysłać kiedyś jako ambasadora w kraje, gdzie nie mieszka Gilberta. Byłbym wolał wrócić do projektów literackich, którym tworzył niegdyś, a którym porzucił w czasie swoich spacerów w stronę Guermantes. Ale ojciec był stale przeciwny karierze literackiej, którą uważał za coś o wiele niższego od dyplomacji, odmawiając jej nawet miana kariery; aż do dnia, w którym pan de Norpois, nie bardzo lubiący dyplomatów z mieszczaństwa, upewnił go, że można jako pisarz zdobyć sobie tyleż uznania, działać równie skutecznie, a zachować większą niezależność.

– No i co, nie byłbym przypuszczał, stary Norpois nie jest wcale przeciwny literaturze – rzekł ojciec. Że zaś, dość ustosunkowany sam przez się, ojciec wierzył, iż nie ma rzeczy, której by się nie dało ułożyć i załatwić pomyślnie w rozmowie wpływowych ludzi, dodał:

– Ściągnę go któregoś dnia po komisji na obiad. Pomówisz z nim trochę, aby cię mógł ocenić. Napisz coś dobrego, co by mu można było pokazać; on żyje blisko z redaktorem „Revue des Deux Mondes”, wkręci cię tam, to spryciarz; a dalibóg, on, zdaje się, uważa, że dzisiaj dyplomacja!...

Szczęście, jakim byłoby nie rozstawać się z Gilbertą, wzbudziło we mnie chęć (ale nie zdolność) napisania pięknej rzeczy, którą by można pokazać panu de Norpois. Po pierwszych stronicach, nuda wytrącała mi pióro z ręki; płakałem z wściekłości, myśląc, że nigdy nie będę miał talentu, że nie mam zdolności i że nie będę mógł nawet skorzystać z szansy pozostania na zawsze w Paryżu, jaką mi daje bliska wizyta pana de Norpois. Jedyne myślenie, że będę mógł zobaczyć Berme, łagodziła moją zgrzyotę. Ale tak samo jak byłbym chciał oglądać burzę jedynie na wybrzeżach, gdzie bywa najgwałtowniejsza, tak samo byłbym chciał urzucić wielką aktorkę jedynie w jednej z klasycznych ról, w których, jak mi to mówił Swann, sięgała szczytu. Kiedy, w nadziei cennego odkrycia, pragniemy kosztować pewnych wrażeń natury lub sztuki, niezbyt jesteśmy skłonni zadowolić się w ich miejsce wrażeniem słabszym, zdolnym omamić nas co do ścisłej wartości Piękna. Berma w *Andromace*, w *Kapryśach Marianny*, w *Fedrze*, to były owe rzeczy sławne, których tak łaknęła moja wyobraźnia. Gdybym usłyszał Berme recytującą ten wiersz:

„Mówią że nas opuszczasz w najbliższej godzinie,
Książę,” etc.⁵

doznałbym tego samego zachwyty, co w dniu, w którym gondola zawiozłaby mnie do stóp Tycjana u Frari lub Carpaccia w San Giorgio dei Schiavoni.

⁵ etc. – skrót od łac. *et caetera*: i inne; i tak dalej. [przypis edytorski]

Znałem te wiersze jedynie z prostej czarno-białej reprodukcji w druku; ale serce biło mi, kiedy myślałem, niby o ziszczeniu jakiejś podróży, że ujrzę je wreszcie skąpane w rozświetlonej atmosferze złotego głosu. Carpaccio w Wenecji, Berma w *Fedrze*, arcydzieła sztuki malarskiej lub dramatycznej! – związany z nimi urok czynił z nich coś tak żywego, to znaczy tak niepodzielnego, że gdybym zobaczył Carpaccia w Luwrze lub Bermę w jakimś nieznanym mi utworze, nie doświadczyłbym tego rozkosznego zdumienia, iż nagle oczy moje otwały się wobec niepojętego i jedyne przedmioty tylu tysięcy moich snów. Oczekując zarazem od Bermy objawienia pewnych form szlachetności, bólu, sądziłem, że to co jest w jej grze wielkie i prawdziwe, musi być większe i prawdziwsze, gdy aktorka zwiąże to z dziełem istotnej wartości, zamiast jedynie haftować prawdę i piękno na miernej i pospolitej kanwie.

Gdybym wreszcie zobaczył Bermę w jakiej nowej sztuce, niełatwo by mi było osądzić jej kunszt, jej dykcję, skoro nie mógłbym dokonać rozdziału między tekstem – nieznanym mi z góry – a tym, co by mu przydały akcenty i gesty, zlewające się dla mnie z tekstem; natomiast dawne dzieła, umiane na pamięć, zdawały mi się niby wielkie przestrzenie, umyślnie zastrzeżone, gdzie bym mógł z całą swobodą oceniać inwencje, jakimi, niby freskiem, pokryłaby je Berma w nieprzerwanym bogactwie natchnienia. Na nieszczęście od czasu, gdy opuściła wielkie sceny i napełniała kasę bulwarowego teatru, którego była gwiazdą, nie grywała już klasyków; daremnie śledzi⁶ afisze; zawsze oznajmiały sztuki zupełnie nowe, fabrykowane specjalnie dla Bermy przez wziętych autorów. Naraz, jednego rana, szukając na słupie z afiszami „popołudniówek” na świąteczny tydzień, ujrzałem pierwszy raz – na zakończenie spektaklu, po jakiejś błahej (jak sądziłem) sztuczce, której tytuł wydał mi się mętny, ponieważ personifikował treść nieznaną mi akcji – dwa akty *Fedry* z panią Bermą, w dalszych zaś popołudniowych spektaklach *Półświatek*, *Kaprysy Marianny* – tytuły, które, jak *Fedra*, były dla mnie przejrzyste, napełnione samą jasnością, tak dobrze owe dzieła były mi znane, rozświetlone do głębi uśmiechem sztuki. Tytuły te pomnażały mi dostojeństwo samej Bermy, kiedy wyczytał obok programu w dzienniku, że to ona zapragnęła pokazać się na nowo publiczności w paru dawnych kreacjach.

Zatem, artystka wiedziała, że niektóre role mają wartość trwalszą niż moment ich premiery lub sukces wznowienia; uważała je, w swojej interpretacji, za arcydzieła muzealne, warte, aby je na nowo ukazać oczom pokolenia, które ją w nich podziwiała, lub tego, które jej w nich nie zna. Kładąc tak na afiszu, pośród sztuk przeznaczonych jedynie na wypełnienie wieczoru, *Fedre*, której tytuł, nie dłuższy od tamtych tytułów, wydrukowano takimi samymi czcionkami, Berma czyniła jak gdyby gest gospodyni domu, gdy przedstawiając nas gościom w chwili siadania do stołu, wymienia pośród obojętnych nazwisk, nie zmieniając tonu: „pan Anatol France”.

Lekarz, który mnie miał w swojej opiece – ten sam, który mi zabronił wszelkich podróży – odradzał rodzicom dla mnie teatr; wróciłbym (powiadał) z teatru chory, może na długo, i w sumie przyniosłoby mi to więcej cierpienia niż przyjemności. Ta obawa mogłaby mnie powstrzymać, gdyby to, czegom oczekiwał po takim widowisku było tylko przyjemnością, którą suma późniejszego cierpienia może sprowadzić do zera. Ale to, czegom żądał od tego widowiska – tak samo jak od wymarzonej podróży do Balbec lub do Wenecji – było zupełnie czymś innym niż przyjemnością; spodziewałem się po tym prawd należących do świata realniejszego niż ów, w którym żyłem; prawd, których, skoro je raz posiadam, nie mogłyby mi wydrzeć błahe – choćby nawet bolesne dla mego ciała – wypadki mojej czezej egzystencji. Co najwyżej, przyjemność, jakiej kosztowałbym w teatrze, wydawała mi się potrzebną może formą doznania tych prawd; to wystarczało, abym pragnął, by przepowiedziane cierpienia zaczęły się aż po spektaklu, nie psując i nie fałszując tej przyjemności. Błagałem rodziców, którzy, od czasu wizyty lekarza, nie chcieli mi pozwolić iść na *Fedre*. Powtarzałem sobie bez końca tyradę: „Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie”, próbując wszelkich intonacji, jakie można by w nią włożyć, iżbym mógł lepiej zmierzyć

⁶ *daremnie śledził* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: daremnie śledziłem. [przypis edytorski]

niespodziankę akcentu, jaki znajdzie dla niej Berma. Boskie Piękno, ukryte jak *sanctissimum* pod zasłoną, która mi je kryła i poprzez którą użyczałem mu co chwilę nowej postaci, w duchu słów Bergotte'a – w plakietce odnalezionej przez Gilbertę – wciąż powracających w mojej myśli: „uplastyczniona szlachetność, chrześcijańska włosiennica, jansenistyczna bladość, księżna Trezeny i de Clèves, mykeński dramat, delficki symbol, mit słoneczny”, – boskie Piękno, które miała mi odślonić gra Bermy, królowała dniami i nocą na wciąż oświeconym ołtarzu, w głębi mojej duszy, w oczekiwaniu, aż wyrok moich surowych i lekkomyślnych rodziców orzeknie, czy dusza ta posiadzie – i to na zawsze – doskonałości Bóstwa odślonionego w tym samym miejscu, w którym wznosił się jego niewidzialny kształt.

I z oczyma wlepionymi w niepojęty obraz, walczyłem od rana do wieczora przeciw zaporom, jakie stawiała mi rodzina. Ale, kiedy zapory runęły, kiedy matka – mimo że przedstawienie wypadło właśnie w dniu komisji, po której ojciec miał przyprowadzić na obiad pana de Norpois – powiedziała mi: „No cóż, nie chcemy cię dręczyć; skoro sądzisz, że ci to sprawi taką przyjemność, to już idź”; kiedy teatr, dotąd zabroniony, zależał tylko ode mnie, wówczas, po raz pierwszy, niepochłonięty już tym, aby ów teatr przestał być niemożliwością, pytałem sam siebie, czy on jest upragniony, czy inne racje niż zakaz rodziców nie powinny by mi kazać się go wyrzec.

Po pierwsze, przez kontrast do nienawistnego okrucieństwa, zgoda rodziców zrodziła we mnie taką dla nich czułość, że myśl o ich przykrości sprawiała ból mnie samemu. Celem życia wydała mi się już nie prawda, ale czułość; wartość jego mierzyłem jedynie tym, czy rodzice będą szczęśliwi. „Wolałbym raczej nie iść, gdyby cię to miało zmartwić” rzekłem do matki, która, przeciwnie, starała się oddalić ode mnie tę myśl, iż mogłaby być z tego powodu smutna: ta myśl – powiadała – zepsułaby mi przyjemność, jakiej miałem kosztować na *Fedrze*, i dla której i ona sama, i ojciec cofnęli zakaz. Ale wówczas ów jak gdyby obowiązek doznania przyjemności wydał mi się bardzo ciężki. Przy tym, gdybym wrócił chory, czy wyzdrowieję dość szybko, aby móc iść na Pola Elizejskie po feriach, skoro tylko zacznie tam chodzić Gilberta?

Z wszystkimi tymi racjami zestawiałem – aby rozstrzygnąć, co ma przeważać – niewidzialną pod swymi zasłonami myśl o doskonałości Bermy. Na jedną szalę kładłem myśl, że mama jest smutna, ryzyko, że nie będę mógł iść na Pola Elizejskie, na drugą „jansenistyczną bladość, mit słoneczny”; ale nawet te słowa mętniały w końcu w moim umyśle, nie mówiły mi już nic, traciły wszelki ciężar gatunkowy; stopniowo wahania moje stawały się tak bolesne, że gdybym się teraz zdecydował na teatr, to już tylko dlatego, aby je zakończyć i uwolnić się od nich raz na zawsze. Uczyniłbym to po to, aby skrócić swoje cierpienia, nie zaś w nadziei intelektualnej korzyści, ani pod urokiem doskonałości; dałbym się poprowadzić nie ku Mądrej Bogini, ale ku niewidzialnemu Bóstwu bez twarzy i nazwy, które zniemacka wstawiono pod zasłoną w jej miejsce.

Ale nagle wszystko się odmieniło; moje pragnienie ujrzenia Bermy otrzymało nową podniecie, która pozwoliła mi niecierpliwie i radośnie oczekiwać teatru. Wybrawszy się na swoją codzienną, a od niedawna tak okrutną stację słupnika pod kolumną z afiszami, ujrzałem mokry jeszcze szczegółowy afisz *Fedry*, który przyklepiono po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, reszta obsady nie przyniosła nowego uroku, który by mógł mnie zdecydować. Ale widok ten dawał jednemu z celów, między którymi wahało się moje niezdecydowanie, kształt bardziej konkretny: data afisza oznaczała nie dzień, w którym go czytałem, ale ów, w którym miało się odbyć przedstawienie, godzinę podniesienia kurtyny; było to tak bliskie, tak realne, że podskoczyłem z radości przed słupem na myśl, że owego dnia, prawie o tej samej godzinie, siedząc na swoim miejscu, będę się gotował ujrzeć Bermę. I z obawy, że rodzice mogą już nie dostać dobrych miejsc dla babki i dla mnie, pobiegłem pędem do domu, smagany magicznymi słowami, które zastąpiły w mojej myśli **jansenistyczną bladość i mit słoneczny**: „przed zajęciem miejsc w krzesłach, panie obowiązane są zdjąć kapelusze” i „punktualnie o godzinie drugiej, drzwi będą zamknięte”.

Niestety! ten pierwszy poranek stał się wielkim zawodem. Ojciec zaproponował, że udając się na komisję, odwiezie babkę i mnie do teatru. Wychodząc, rzekł do matki:

– Postaraj się, żeby był dobry obiad; pamiętasz, że mam przyprowadzić pana de Norpois?

Matka nie zapomniała. I od poprzedniego dnia Franciszka, szczęśliwa, że może się oddawać sztuce kuchennej, do której miała niewątpliwy talent, podniecona zresztą zapowiedzią nowego gościa, wiedząc, że będzie musiała przyrządzić wedle jej tylko wiadomej recepty sztukamięs w auszpiku, żyła w gorączce tworzenia; że zaś przywiązywała ogromną wagę do jakości produktów mających wchodzić w skład jej dzieła, udała się sama do Hal, aby wybrać najpiękniejsze płyty rumsztyku, nogi wołowe, nóżki cielęce, niby Michał Anioł, spędzający osiem miesięcy w górach Karary, aby wybrać najdoskonalsze złoty marmuru na pomnik Juliusza II. W te wstępne przygotowania wkładała Franciszka tyle żaru, że mama, widząc jej rozplómieloną twarz, obawiała się, aby stara służąca nie rozchorowała się z przemęczenia, jak twórca grobowca Medyceuszów w łomach Pietraganta. I już poprzedniego dnia Franciszka posłała szynkę, którą nazywała nefiorską, osłonioną miękiszem chleba niby różowy marmur, aby ją upiec u piekarza. Niewątpliwie za pierwszym razem, kiedy usłyszała o szynce **yorskiej**, Franciszka, uważając język za mniej bogaty i swoje własne uszy za nie dość pewne, nie uwierzyła w tę rozrzutność słownika i w to, aby mógł istnieć zarazem i York, i Nowy York; sądziła tedy, że się przesłyszała i że chodzi po prostu o słowo znane jej wprzódy. Toteż od owego czasu, przed słowem *York* zjawiał się w jej uszach lub przed jej oczami – kiedy czytała anons – przydatek **New**, który wymawiała **Nef**. I z najlepszą wiarą mówiła do posługaczki:

– Idź, przynieś mi szynkę od Olidy. Pani mówiła koniecznie, żeby była nefiorska.

Tego dnia, o ile Franciszka oddychała płomienną pewnością twórców, moim udziałem był okrutny niepokój poszukiwaczy. Bez wątpienia, dopókim nie usłyszał Bermi, doznawałem przyjemności. Doznawałem jej na skwerku przed teatrem, gdzie w dwie godziny później nagie kasztany miały się lśnić metalicznym blaskiem, gdy płomyki gazu oświetlą szczegółowo ich gałęzie; i w obliczu kontrolerów, których wybór, awans, los zależał od wielkiej artystki: ona sama dzierżyła władzę w zarządzie teatru, na którego czele przesuwali się kolejno znikomi i czysto nominalni dyrektorowie. Kontrolerzy odebrali bilety, nie patrząc na nas, przejęci myślą, czy wszystkie zlecenia ich pani wiernie przekazano nowemu personelowi; czy dobrze zrozumiano, że klaka nigdy nie ma oklaskiwać jej samej; że okna mają być otwarte, póki jej nie ma na scenie, a najmniejsze drzwi zamknięte potem; że garnek z gorącą wodą ma stać ukryty w jej pobliżu, dla oczyszczenia powietrza z kurzu. I w istocie, za chwilę powóz Bermi, zaprzężony w dwa długogrzywe konie, zatrzyma się przed teatrem, ona wysiądzie zakutana w futra i, odpowiadając znudzonym gestem na ukłony, pośle którąś z pokojówek, aby się upewniła, czy zarezerwowano łożę dla przyjaciół, aby sprawdziła temperaturę sali, klasę publiczności, zachowanie się odzwrotnych. Teatr i publiczność to był dla Bermi jedynie drugi, bardziej zewnętrzny kostium, w który wchodziła; atmosfera zaś sali była lepszym lub gorszym przewodnikiem jej talentu.

Byłem szczęśliwy również na samej widowni. Od czasu jak wiedziałem – na wspak temu, co sobie długo wyobrażały moje dziecięce urojenia – że jest tylko jedna scena dla wszystkich, myślałem, że przez głowy innych widzów musi być równie trudno widzieć, co kiedy się jest w tłumie; otóż, przekonałem się, iż przeciwnie, dzięki urządzeniu, które jest symbolem wszelkiej percepcji, każdy czuje się niby w centrum widowni. To mi wytłumaczyło, iż raz, kiedy posłano Franciszkę na jakiś melodramat na galerię, upewniała za powrotem, że miała miejsce najlepsze w całym teatrze, i nie tylko nie uważała, że siedzi za daleko, ale przeciwnie, czuła się zaniepokojona tajemniczą i żywą bliskością kurtyny.

Przyjemność moja wzrosła jeszcze, kiedy za spuszczoną kurtyną zacząłem rozróżniać mętne odgłosy, podobne tym, które się dają słyszeć w skorupie jajka, kiedy się ma wyląc pisklę. Niebawem hałasy wzmożyły się i naraz z tego świata niedostępnego naszym oczom, ale widzącego nas, skierowały się niewątpliwie do nas w despotycznej formie trzech uderzeń, równie wzruszających co sygnały nadane z Marsa. I skoro się już podniosła ta kurtyna, kiedy biurko i kominek, dosyć pospolite zresztą, oznajmiły nam, iż osoby, które zaraz wejdą na scenę, to będą nie deklamatorzy, tacy, jakich raz widziałem na wieczorze, ale ludzie przeżywający u siebie w domu jeden dzień swego życia, w które

wdzierałem się przemocą, niewidziany przez nich – przyjemność moja trwała nadal. Przerwał ją krótki niepokój: właśnie kiedy nadstawiał uszu, zanim się zaczęła sztuka, weszło na scenę dwóch ludzi, widocznie rozniewanych, skoro mówili tak głośno, że w tej sali, liczącej więcej niż tysiąc miejsc, można było rozróżnić ich słowa, gdy w małej kawiarence trzeba się pytać garsona, co mówią dwaj goście, którzy się pokłócili z sobą. Ale w tej samej chwili, zdumiony, że publiczność słucha ich bez protestu, zatopiona jednomyślną ciszą, z której to tu to tam zachlupotał śmiech, zrozumiałem, że ci kłótnicy to są aktorzy i że zaczęła się właśnie jednoaktówka, zwana *lever de rideau*.

Nastąpił po niej antrakt tak długi, że widzowie, wróciwszy na miejsca, niecierpliwi się, tupali nogami. Przeraziło mnie to; tak samo bowiem, jak kiedy czytałem w sprawozdaniu z procesu, że jakiś szlachetny człowiek z własną szkodą złożył świadectwo na korzyść niewinnego, bałem się, iż nie będą dla tego świadka dość mili, że nie okażą mu dosyć wdzięczności, że go nie wynagrodzą dość hojnie i że, zmierzony tym, przejdzie na stronę niesprawiedliwości, tak samo, upodabniając w tym geniusz do cnoty, bałem się, że Berma, zrażona niesfornym zachowaniem się tak źle wychowanej publiczności – wśród której, przeciwnie, byłbym rad, aby mogła z satysfakcją rozpoznać kilka znakomitości, na których sędzie by jej zależało – wyrazi jej swoje niezadowolenie i wzgardę, grając lichy. I patrzyłem błagalnie na te tupiące bydłeta, zdolne w swojej wściekłości skruszyć wątle i cenne wrażenie, po którym przyszedł.

Wreszcie, ostatnie chwile mojej przyjemności przypadły w czasie pierwszych scen *Fedry*. Sama Fedra nie pojawia się w owym początku drugiego aktu; jednakże, z chwilą gdy kurtyna się podniosła i gdy się rozsunęła druga kurtyna z czerwonego aksamitu, przecinająca scenę we wszystkich sztukach, w których występowała gwiazda, weszła głębią aktorka o twarzy i głosie podobnych tym, jakie, wedle tego co mi mówiono, miała mieć Berma. Musiano widocznie zmienić obsadę; cała pilność, jaką włożyłem w studiowanie roli małżonki Tezeusza, poszła na marne! Ale jeszcze inna aktorka brała udział w dialogu. Musiałem się pomylić, biorąc tamtą za Bermę, bo ta druga była do niej jeszcze podobniejsza; – co więcej, miała jej dykcję. Obie zresztą stroiły swoje role w szlachetne gesty – które dobrze rozróżniałem, pojmując ich związek z tekstem, gdy aktorki podnosiły swoje piękne fałdziste szaty – a także w bogate, to namiętne, to ironiczne intonacje, pozwalające mi zrozumieć sens wierszy, które czytałem w domu, nie dość zwracając uwagę na ich znaczenie. Ale naraz, między czerwonymi oponami sanktuarium, ukazała się, niby w ramie, inna kobieta i natychmiast odczułem lęk o wiele dotkliwszy, niż mógł być lęk Bermy o to, że jej nie w porę otworzą okno, że ktoś skazi dźwięk jej słów szeleszcząc programem, że publiczność urazi ją, oklaskując jej koleżanki lub nie dość oklaskując ją samą. Z tego wzruszenia, w którym od tej chwili – i jeszcze absolutniej niż dla samej Bermy – sala, publiczność, aktorzy, sztuka i moje własne ciało stały się dla mnie wyłącznie przewodnikiem akustycznym, mającym znaczenie jedynie w tej mierze, w jakiej jest on korzystny dla modulacji tego głosu, zrozumiałem, że dwie aktorki, podziwiane przeze mnie od kilku minut, nie mają żadnego podobieństwa z tą, którą przyszedłem oglądać.

Ale równocześnie cała moja przyjemność ustała; daremnie wyteżądałem ku Bermie oczy, uszy, myśl, aby nie uronić ani okruszyny z przyczyn, jakich dostarczała mojemu podziwowi; nie zdołałem pochwycić ani jednej. Nie mogłem nawet, jak u jej koleżanek, rozróżnić w jej dykcji i grze inteligentnych akcentów, pięknych gestów. Słuchałem tak, jakbym czytał *Fedre* lub jakby sama Fedra mówiła w tej chwili, bez żadnego naddatku płynącego z talentu Bermy. Aby móc zgłębić, aby próbować odkryć, w czym tkwi jej artyzm, byłbym pragnął zatrzymać, unieruchomić na długo każdą intonację artystki, każdy wyraz jej fizjonomii; starałem się bodaj, za pomocą umysłowego wysiłku, ustaliwszy i wycelowawszy przed każdym wierszem swoją uwagę, nie strwonić na przygotowania ani jednej cząstki trwania każdego słowa i gestu i dzięki nasileniu uwagi wnikać w nie tak głęboko, co gdybym miał na ten cel długie godziny. Ale jakże to trwanie było krótkie! Ledwie dźwięk jaki dostał się do mego ucha, już zastępował go inny. W scenie, gdy Berma trwa nieruchomo jakiś czas z ręką na wysokości twarzy, skąpiana dzięki grze reflektorów w zielonkawym świetle, na tle dekoracji

przedstawiającej morze, sala buchnęła oklaskiem; ale już artystka zmieniła miejsce: obraz, który byłbym chciał studiować, przestał istnieć.

Powiedziałem babce, że nie widzę dobrze; dała mi lornetkę. Ale kiedy się wierzy w realność rzeczy, posługiwać się sztucznym środkiem, aby ich osiągnąć, nie jest tym samym, co czuć je blisko siebie. Miałem uczucie, że już nie Bermę widzę, ale jej obraz w powiększającym szkłe. Odłożyłem lornetkę; ale może obraz, który przyjmowało moje oko, zmniejszony oddaleniem, nie był wierniejszy: która z dwóch Berm była prawdziwa? Co się tyczy jej oświadczeń Hipolitowi, bardzo liczyłem na ten ustęp, w którym, wnosząc ze znaczących akcentów, jakie koleżanki Bermy odkrywały mi co chwila w mniej pięknych miejscach, spodziewałem się u niej samej akcentów niezwyklejszych niż te, które czytając starałem się w domu wydobyć; ale nie dosięgła nawet tych, na które się zdobyły dotąd Enona lub Arycja; wszystko przeciągnęła strychnicą jednotonnej melopei, całą tyradę, w której mieszały się przeciwieństwa, tak przecież wyraźne, że bodaj trochę inteligentna tragiczka, nawet uczennica liceum, nie omieszkałaby ich wyzyskać. Zresztą Berma wygłosiła ten ustęp tak szybko, że dopiero kiedy doszła do ostatniego wiersza, umysł mój uświadomił sobie rozmyślną monotonię, jaką narzuciła pierwszym.

Wreszcie buchnęło moje pierwsze uczucie podziwu: wywołały je frenetyczne oklaski publiczności. Dołączyłem do nich swoje, starając się przedłużyć owacje, iżby Berma przez wdzięczność przeszła samą siebie, tak abym był pewny, że ją oglądał w jednym z jej najlepszych dni. Ciekawe jest, że chwila, w której rozpętał się ten entuzjizm, była – dowiedziałem się o tym później – momentem, gdy Berma ma jeden ze swoich najpiękniejszych efektów. Zdaje się, że pewne wyższe realności wysyłają dokoła siebie promienie, na które tłum jest wrażliwy. Tak na przykład, kiedy się spełnia jakieś wydarzenie, kiedy na granicy armia jest w niebezpieczeństwie albo pobita, albo zwycięska, wówczas mętne wiadomości, niewiele dostarczające materiału wykształconemu człowiekowi, niecą w tłumie wzruszenie, które nas zdumiewa, a w którym, skoro raz eksperci uświadomią nam istotną sytuację wojenną, uznajemy wrażliwość tłumy na ową „aurę”, jaka otacza wielkie wypadki i może być widzialna na setki kilometrów. Człowiek dowiaduje się o zwycięstwie albo po wszystkim, kiedy wojna jest skończona, albo natychmiast z radości odzwiernego. Odkrywa się genialny rys gry Bermy w tydzień po przedstawieniu z krytyk albo natychmiast z oklasków widowni. Że jednak ta bezpośrednia świadomość tłumy miesza się z setką innych, całkowicie błędnych, brawa padały najczęściej fałszywie, nie licząc, że wzbudzała je już mechanicznie siła poprzednich braw, jak w czasie burzy raz rozhuśtane morze wzbiera dalej, nawet gdy wiatr się już nie wzmaga.

Ale mniejsza; w miarę jak klaskałem, zdawało mi się, że Berma lepiej gra. „Przynajmniej – mówiła obok mnie kobieta dosyć pospolita – ta się nie oszczędza; wali się w piersi, że aż dudni, biega po scenie; to, to rozumiem, to się nazywa grać”. I szczęśliwy, że znalazłem te racje wyższości Bermy, mimo moich podejrzeń, że one nie tłumaczą jej, jak nie tłumaczy *Giocondy* lub *Perseusza* Benvenuto wykrzyknik kmiotka: „To ci pięknie odrobione! całe ze szczerzego złota, i co za praca!” – z upojeniem dzieliłem tanie wino tego ludowego entuzjizmu.

Czułem mimo to, po zapadnięciu kurtyny, rozczarowanie, że ta przyjemność, której tak bardzo pragnąłem, nie była większa; ale równocześnie czułem potrzebę przedłużenia jej, nie pożegnania na zawsze, wraz z opuszczeniem sali, tego życia teatru, które przez kilka godzin było moim życiem, z którego byłbym się wyrwał, niby na wygnanie, gdybym, wracając do domu, nie miał nadziei dowiedzenia się tam wiele o Bermie od jej wielbiciela, któremu zawdzięczałem, że mi pozwolono iść na *Fedre* – od pana de Norpois.

Ojciec przedstawił mnie ambasadorowi przed obiadem, wezwawszy mnie w tym celu do gabinetu. Kiedym wszedł, dyplomata wstał, podał mi rękę, pochylił wysoką postać i wlepił we mnie bacznie niebieskie oczy. Ponieważ przejezdni cudzoziemcy, których mu przedstawiano w epoce, gdy reprezentował Francję, byli mniej lub więcej – licząc w to głośnych śpiewaków – figurami wybitnymi, o których pan de Norpois wiedział, iż będzie mógł powiedzieć kiedyś – gdy kto wymieni ich nazwisko w Paryżu lub w Petersburgu – że sobie doskonale przypomina wieczór spędzony z nimi w

Monachium lub w Sofii, ambasador przywykł podkreślać swoją uprzejmością radość z ich poznania; co więcej, przekonany, iż w życiu stolic, przez równoczesny kontakt z zajmującymi osobami, które przez nie przejeżdżają i ze zwyczajami ludu, który je zamieszkuje, nabywa się głębokiej i niepodobnej do uzyskania z książek znajomości historii, geografii, obyczajów rozmaitych narodów, ruchu umysłowego Europy, pan de Norpois ćwiczył na każdym nowo przybyłym swoją bystrość, aby od razu przejrzeć, z jakim gatunkiem człowieka ma do czynienia. Rząd nie powierzał już od dawna panu de Norpois placówek zagranicznych, ale z chwilą gdy eks-ambasadorowi przedstawiano kogoś, czy jego, tak jakby nie przyjęły do wiadomości jego „stanu spoczynku”, zaczynały owocnie obserwować, gdy on sam całą postawą starał się okazać, że nazwisko cudzoziemca nie jest mu obce. Toteż, mówiąc do mnie z dobrocią i z ważnością człowieka mającego świadomość swego rozległego doświadczenia, nie przestawał mnie badać z roztrępnym zaciekawieniem, dla własnej przyjemności, tak jakbym był jakimś egzotycznym zwyczajem, pouczającym zabytkiem lub gwiazdą na *tournée*. W ten sposób pan de Norpois dawał w stosunku do mnie zarazem dowód majestatycznej uprzejmości roztrępnego Mentora i pilnej ciekawości młodego Anacharsisa.

Nie ofiarował mi się absolutnie z niczym w przedmiocie „Revue des Deux Mondes”, ale zadał mi pewną ilość pytań co do mego życia i studiów, co do moich upodobań, o których pierwszy raz w mojej obecności mówiono jak o czymś godnym wzięcia pod uwagę, gdy dotąd sądziłem, iż obowiązkiem jest sprzeciwiać się im. Ponieważ wiodły mnie one ku literaturze, ambasador nie odwracał mnie od tego; przeciwnie, mówił o literaturze z szacunkiem, niby o czcigodnej i uroczej osobie z najlepszego towarzystwa, o której zachowało się z Drezn lub z Rzymu wyborne wspomnienia i z którą, ku swemu ubolewaniu, wskutek warunków życia, człowiek spotyka się zbyt rzadko. Z frywolnym niemal uśmiechem ambasador zdawał mi się zazdrościć szczęśliwych chwil, które ja, szczęśliwszy od niego i swobodniejszy, będę mógł z nią spędzić. Ale same wyrażenia, którymi pan de Norpois się posługiwał, ukazywały mi Literaturę jako coś bardzo odmiennego od jej obrazu, jaki sobie stworzyłem w Combray; i zrozumiałem, że miał podwójnie rację, wyrzekając się jej. Dotąd zdawałem sobie jedynie sprawę z tego, że nie mam daru pisania; obecnie pan de Norpois odbierał mi nawet ochotę do pisania. Chciałem się z nim podzielić swoimi rojeniami; drżąc ze wzruszenia, byłbym sobie wyrzucał, gdyby słowa moje nie były najszczęśliwszym wyrazem tego, com odczuwał i czegom nigdy nie próbował sobie sformułować; tym samym słowa moje dalekie były od ścisłości. Może z zawodowego nawyku, może siłą spokoju, jakiego nabywa człowiek ważny, którego proszą o radę i który, wiedząc, iż zachowa w ręku bieg rozmowy, pozwala interlokutorowi miotać się, wysilać, męczyć; może również, aby uwydatnić typ swojej głowy (wedle niego samego grecki, mimo wielkich bokobrodów), pan de Norpois, kiedy mu się coś tłumaczyło, zachowywał twarz równie nieruchomą, co gdyby się mówiło w gliptotece przed jakimś popiersiem antycznym – i głuchym. Naraz, spadając niby młotek taksatora lub wyrocznia delficka, głos ambasadora, rozlegający się w odpowiedzi, wzruszał cię tym bardziej, ile że nic na twarzy pana de Norpois nie zwiastowało wrażenia, jakie na nim wywarłeś, ani zdania, jakie miał wyrazić.

– Właśnie – rzekł do mnie nagle, tak jakby sprawa była osądzona, i pozwolewszy mi bredzić pod swoim nieruchomym spojrzeniem, które nie opuszczało mnie ani na chwilę – właśnie znam syna jednego z przyjaciół, który, *mutatis mutandis*⁷ jest w podobnym położeniu. – (Mówiąc o naszych wspólnych skłonnościach, pan de Norpois przybrał ten sam pocieszający ton, co gdyby to były skłonności nie do literatury lecz do reumatyzmu i gdyby mnie chciał upewnić, że się z tego nie umiera). – Toteż wołał opuścić Quai d'Orsay, gdzie, bądź jak bądź, miał już wytyczoną drogę przez swego ojca, i nie troszcząc się o ludzkie języki, zaczął pisać. To pewna, że nie miał powodu tego żałować. Ogłosił przed dwoma laty (jest zresztą o wiele starszy od pana, oczywiście) dzieło traktujące o poczuciu Nieskończoności na zachodnim brzegu jeziora Victoria Nyanza, a w tym roku dziełko mniej ważkie, ale skreślone piórem żwawym, niekiedy nawet ciętym, o karabinie repetierowym w

⁷ *mutatis mutandis* (łac.) – z uwzględnieniem istniejących różnic. [przypis edytorski]

armii bułgarskiej; które to dwie prace stworzyły mu sytuację zupełnie wyjątkową. Zrobił już ładny szmat drogi, a nie jest to człowiek, który by się zatrzymał w połowie, i wiem, że, nie biorąc co prawda w rachubę ewentualnej kandydatury, rzucono parę razy jego nazwisko, ot, w rozmowie, w Akademii Nauk Politycznych, i to w sposób zgoła niemający nic nieprzychylnego. W sumie, mimo iż nie można powiedzieć, aby już się znalazł na szczycie cokołu, zdobył sobie wstępny bojem ładną pozycję. Sukces, który nie zawsze przypada jedynie niespokojnym i mętnym głowom, ryerczom idei często będącym po prostu ryerczami przemysłu, sukces, powiadam, uwieńczył jego trudy.

Ojciec, widząc mnie już za kilka lat członkiem Akademii, oddychał z zadowoleniem, a pan de Norpois spotęgował je jeszcze, kiedy po chwili wahania, podczas której zdawał się obliczać następstwa swego czynu, rzekł, podając mi swój bilet: „Niech pan do niego zajdzie, powołując się na mnie; będzie mógł panu udzielić cennych wskazówek”. Słowa te przyprawiły mnie o wstrząs równie gwałtowny, co gdyby mi oznajmiono, że mam się znaleźć nazajutrz jako majtek na pokładzie żaglowca.

Ciocia Leonia zrobiła mnie spadkobiercą nie tylko wielu przedmiotów i mebli bardzo kłopotliwych, ale i całego swego ruchomego majątku, zdradzając tym przywiązanie, którego nie domyślałem się za jej życia. Ojciec, mający zawiadywać tym majątkiem do mojej pełnoletności, poradził się pana de Norpois co do niektórych lokat. Pan de Norpois polecił papiery słabo procentujące, które uważał za szczególnie pewne, mianowicie konsolidy angielskie i czteroprocentową pożyczkę rosyjską. „Przy tych walorach, zupełnie pierwszorzędnym – rzekł pan de Norpois – jeżeli dochód nie jest zbyt wysoki, masz pan przynajmniej pewność, że nigdy nie uronisz kapitału”. Co się tyczy reszty, ojciec zwierzył się z grubsza z tym, co kupił. Pan de Norpois powinszował mu nieznacznym uśmiechem: jak wszyscy kapitaliści, uważał majątek za rzecz godną zazdrości, ale wydawało mu się delikatniejsze komplementować jego posiadacza ledwie dostrzegalnym znakiem porozumienia; z drugiej strony, sam będąc kolosalnie bogaty, uważał za rzecz dobrego smaku okazywać uznanie dla czyichś znacznie mniejszych dochodów, radośnie i przyjemnie oceniając w duchu przewagę własnych. W zamian nie wahał się winszować ojcu „kompozycji” jego portfela „o smaku bardzo pewnym, bardzo delikatnym, bardzo finezyjnym”. Można by rzec, iż pan de Norpois przypisuje stosunkom papierów wartościowych między sobą lub nawet papierom wartościowym jako takim coś jakby wartość estetyczną. Kiedy mu ojciec wspomniał o pewnym dość nowym i mało znanym papierze, pan de Norpois, podobny ludziom znającym książkę, o której sądziliśmy, iż znamy ją tylko my jedni, rzekł: „Ależ tak, śledziłem jakiś czas ten papier dla rozrywki w cedułkach, bardzo zajmujący” – z retrospektywnym i uśmiechniętym zainteresowaniem abonenta, który czytał ostatnią powieść w miesięczniku, partiami, w odcinkach. „Nie odradzałbym panu podpisania emisji, którą wypuszczą niebawem. Jest bardzo apetyczna, proponuje panu walory po kuszących cenach”. Mówiąc znowu o pewnych dawnych papierach, ojciec, nie przypominając sobie dobrze nazw, łatwych do pomylenia z innymi pokrewnymi, otworzył szufladę i pokazał ambasadorowi oryginalne akcje. Widok ich zachwycił mnie; zdobyły je katedry i alegoryczne postacie, jak w starych romantycznych wydawnictwach, którym przeglądał niegdyś. Wszystko, co jest z jednej doby, podobne jest do siebie; ci sami artyści, którzy ilustrują poematy jakiejś epoki, pracują dla przedsiębiorstw finansowych. I nic tak nie przywodzi na pamięć zeszytów *Notre-Dame de Paris* i dzieł Gerarda de Nerval, widniejących na wystawie kupca korzennego w Combray, jak, w swojej prostokątnej i kwiecistej obwódce, wspieranej przez bóstwa rzeczne, nominalna akcja Towarzystwa Okrętowego.

Ojciec miał dla mojego rodzaju inteligencji wzgardę na tyle skorygowaną czułością, aby w sumie uczucie jego w stosunku do wszystkiego, co robiłem, wyrażało się ślepym pobłażaniem. Toteż nie zawahał się wysłać mnie po mały poemacik prozą, niegdyś napisany w Combray za powrotem z

przechadzki. Pisałem go w ekstazie, która – sadyłem – musi się udzielić czytającemu. Ale nie zdołała snadź⁸ ogarnąć pana de Norpois, bo oddał mi rękopis bez słowa.

Matka, pełna szacunku dla zajęć ojca, przysłała zapytać nieśmiało, czy można podawać. Bała się przerwać rozmowę, w której nie uważano by może jej udziału za potrzebny. I w istocie, co chwila ojciec przypominał margrabiemu jakiś pożyteczny wniosek, który postanowili poprzeć na najbliższej komisji, a czynił to owym specjalnym tonem, jaki – podobni w tym dwóm uczniakom – mają w odmiennym środowisku dwaj koledzy, posiadający wspólne, a niedostępne innym wspomnienia zawodowe, i niemal zażenowani tym, że się im oddają w przytomności⁹ obcych.

Ale idealna autonomia mięśni twarzy, do jakiej doszedł pan de Norpois, pozwalała mu słuchać, nie zdradzając, że słyszy. Ojciec zmieszał się w końcu. „Zamierzałem spytać o zdanie komisji...” – mówił do pana de Norpois po długich wstępach. Wówczas, z twarzy arystokratycznego wirtuoza, który zachował martwość muzyka, zanim przyjdzie moment jego partii, wychodziło równo i miarowo, tonem ostrym i jak gdyby kończącym – tym razem innym brzmieniem głosu – rozpoczęte zdanie: „...której z pewnością nie omieszka pan zwołać, tym snadniej, że jej członkowie znani są panu poszczególnie i mogą się zebrać bez trudu”. Samo w sobie zakończenie to nie miało zapewne nic niezwykłego. Ale nieruchomość, która je poprzedziła, odcinała je z krystaliczną przejrzystością – niemal filuternością fraz, jakimi w koncercie Mozarta, milczący dotąd fortepian odpowiada w danym momencie wiolonczeli.

– I cóż, kontent jesteś ze swojego teatru? – rzekł w chwili, gdyśmy przechodzili do jadalni, ojciec, aby mi dać sposobność zabłyśnięcia i sądząc, że mój entuzjazm da o mnie dobre pojęcie panu de Norpois. – Był właśnie oglądać *Bermę*; przypomina pan sobie, żeśmy mówili o tym. – rzekł ojciec, obracając się do dyplomaty, tym samym tonem retrospektywnej, technicznej i tajemniczej aluzji, co gdyby chodziło o posiedzenie komisji.

– Musiał pan być zachwycony, zwłaszcza jeśli ją pan widział po raz pierwszy. Ojciec pański niepokoił się, jak ta mała eskapada odbije się na pańskim zdrowiu, bo pan jest, o ile wiem, nieco delikatny, nieco wątpy. Ale uspokoiłem pańskiego ojca. Teatry nie są dziś tym, czym były jeszcze przed dwudziestu laty. Mamy fotele mniej więcej wygodne, niezłą wentylację, mimo że wiele musielibyśmy jeszcze dokładać starań, aby dogonić Niemcy i Anglię, które pod tym względem, jak pod wieloma innymi, wyprzedziły nas kolosalnie. Nie widziałem pani *Bermę* w *Fedrze*, ale słyszałem, że ma być wspaniała. I był pan oczarowany, naturalnie?

Pan de Norpois, tysiąc razy wytrawniejszy ode mnie, musiał posiadać ową prawdę, której ja nie umiałem wycisnąć z gry *Bermę*, i odkryje mi ją z pewnością; w odpowiedzi na jego pytanie, miałem go prosić, aby mi powiedział, na czym polega ta prawda; tym samym usprawiedliwiłby moją uprzednią żądę oglądania tej aktorki. Miałem tylko chwilę czasu, trzeba było skorzystać z niej i skierować wywiad na zasadnicze punkty. Ale które? Skupiając całkowicie uwagę na swoich tak mętnych wrażeniach, nie siląc się bynajmniej olśnić pana de Norpois, lecz raczej uzyskać od niego upragnioną prawdę, nie starałem się zastąpić słów, których mi brakowało, gotowymi zwrotami; bełkotałem coś i w końcu, aby tym skuteczniej wydobyć zeń, co w *Bermie* jest cudowne, wyznałem, że doznałem zawodu.

– Jak to – wykrzyknął ojciec, niekontent z ujemnego wrażenia, jakie wyznanie mojej niekompetencji może sprawić na panu de Norpois – jak możesz mówić, żeś nie czuł przyjemności! Babka opowiadała nam, żeś nie uronił ani słowa z roli *Bermę*, żeś wybałuszał na nią oczy, i że ty jeden zachowywałeś się tak w całej sali.

– Ależ tak, słuchałem, ile tylko mogłem, aby zbadać, co w niej jest tak nadzwyczajnego. Niewątpliwie, jest bardzo dobra...

– Jeżeli jest bardzo dobra, czegoż ci trzeba więcej?

⁸ snadź (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

⁹ w przytomności (daw.) – tu: w obecności. [przypis edytorski]

– Jedną z rzeczy, które niewątpliwie przyczyniają się do sukcesu pani Berma – rzekł pan de Norpois, zwracając się dwornie do matki, aby jej nie zostawiać poza nawiasem i aby sumiennie dopełnić obowiązków grzeczności wobec gospodyni domu – jest doskonały smak, jaki wkłada w wybór swoich ról, co jej zawsze przynosi rzetelny i dobrze zasłużony sukces. Rzadko grywa w rzeczach miernych. Ot, i teraz zmierzyła się z rolą Fedry. Zresztą, ten sam smak wkłada w swoje tualety, w sposób gry. Mimo że odbywała częste i lukratywne tournée po Anglii i Ameryce, popolitość, nie powiem Johna Bulla, co byłoby niesprawiedliwe, przynajmniej dla Anglii wiktoriańskiej, ale wujaszka Sama, nie przyłgnęła do niej. Nigdy zbyt jaskrawych barw, przesadnych krzyków. A przy tym ten cudowny głos, którym włada z takim kunsztem i którym posługuje się tak czarująco, byłbym niemal skłonny powiedzieć – muzycznie!

Moje zainteresowanie grą Bermy wzrastało nieustannie od czasu, jak przedstawienie się skończyło, bo nie podlegało już uciskowi i granicom rzeczywistości; ale czułem potrzebę znalezienia dla niego motywów; co więcej, podczas gdy Berma grała, kierowało się ono równie żarliwie na wszystko, co ona, siłą niepodzielności życia, dawała moim oczom, moim uszom; nie oddzielałem i nie wyróżniałem nic; toteż szczęśliwy byłem, że znajduję racjonalną przyczynę w pochwałach pana de Norpois oddanych prostocie, dobremu smakowi artystki. Zainteresowanie moje przyciągało te pochwały ku sobie całą siłą swej absorpcji, zagarniało je tak, jak optymizm pijanego zagarnia uczynki sąsiada, w których znajduje powód do rozczuleń. „To prawda – powiadałem sobie – co za piękny głos, co za brak wszelkiego krzyku, co za prostota stroju, co za inteligencja w wyborze *Fedry*! Nie, nie zawiodłem się”.

Zjawiła się zimna wołowina z marchewką, ułożona przez Michała Anioła naszej kuchni na ogromnych płatach auszpiku, podobnych przezroczystym blokom kryształu.

– Ma pani kuchmistrza zupełnie bezkonkurencyjnego – rzekł pan de Norpois. – A to nie jest rzecz błaha. Ja, który musiałem prowadzić zagranicą dom na pewnej stopie, wiem, jak jest czasem trudno znaleźć autentycznego wirtuoza patelni. Ależ to prawdziwa biesiada, to, czym nas pani dziś raczy.

W istocie, Franciszka, podniecona ambicją popisania się wobec niezwykłego gościa obiadem nareszcie najeżonym godnymi jej trudnościami, zadała sobie trud, jakiego nie zadawała już sobie dla nas; odnalazła swoje niezrównane sekrety z Combray.

– Oto czego nie można dostać w garkuchni (mam na myśli pierwszorzędne): zraz wołowiny, przy której auszpiku nie byłoby czuć klejem i gdzie mięso przesiąkło zapachem marchewki, to cudowne! Pozwoli mi pani powtórzyć – dodał, robiąc znak, że chce dobrać auszpiku. – Byłbym teraz ciekaw osądzić tego artystę przy daniu zupełnie odmiennym, ujrzeć go na przykład mierzącego się z *boeuf à la Strogonoff*!

Aby się również opodatkować na rzecz uroków obiadu, pan de Norpois poczęstował nas historyjkami, którymi raczył obficie swoich kolegów po fachu, to cytując jakiś pocieszny zwrot, użyty przez męża stanu uprawiającego długie zdania i mętne obrazy, to jakąś lapidarną formułę dyplomaty pełnego attycyzmu. Ale, prawdę mówiąc, kryterium, wedle którego pan de Norpois rozróżniał te dwa rodzaje powiedzeń, nie było w niczym podobne do tych, które stosowałem w literaturze. Wiele odcieni umykało mi się; powiedzenia, które pan de Norpois cytował, parszkając śmiechem, nie wydawały mi się zbyt różne od tych, które przytaczał jako niepospolite. Należał do typu ludzi, którzy na moje ulubione utwory powiedzieliby: „Zatem pan to rozumie? Co do mnie, przyznaję się, że nie rozumiem nic, nie należę do wtajemniczonych”; ale ja mógłbym mu odpłacić tym samym; nie chwytalem dowcipu lub głupoty, lapidarności lub pustki, które on znajdował w jakiejś replice czy przemówieniu. Brak wszelkiej uchwytnej racji, czemu jedno jest złe, a drugie dobre, sprawiał, że ten rodzaj literatury był dla mnie bardziej tajemniczy, ciemniejszy niż jakikolwiek inny. Pojmowałem jedynie, że powtarzać to, co wszyscy myślą, nie jest w polityce oznaką niższości, lecz wyższości. Kiedy pan de Norpois posługiwał się pewnymi wyświechtanymi po dziennikach zwrotami

i wygłaszał je z siłą, czuć było, że przez to samo, iż on ich użył, nabierają one wagi czynu, i to czynu, który wywoła komentarze.

Matka liczyła bardzo na sałatę z ananasów i trufli. Ale ambasador, skierowawszy przez chwilę na tę potrawę bystre oko obserwatora, jadł spowity w dyplomatyczną dyskrecję i nie zdradził nam swojej myśli. Matka nalegała, aby dobrał, co też pan de Norpois uczynił, ale powiadając jedynie, w miejsce spodziewanego komplementu:

– Jestem posłuszny, pani, skoro widzę, że to jest prawdziwy „ukaz¹⁰” z jej strony.

– Czytaliśmy w „organach opinii”, że pan długo rozmawiał z królem Teodozjuszem – rzekł ojciec.

– W istocie, król, który ma rzadką pamięć fizjonomii, był tak łaskaw, widząc mnie w fotelach w teatrze, przypomnieć sobie, iż miałem zaszczyt widywać go przez szereg dni na dworze bawarskim, kiedy nie myślał o swoim wschodnim tronie (wiadomo panu, że go nań powołał kongres europejski i że król nawet bardzo się wahał z przyjęciem, uważając ten tron za niezupełnie odpowiadający jego rodowi, najszlachetniejszemu – biorąc heraldycznie – w całej Europie). Adiutant przyszedł mi oznajmić, abym pośpieszył przedłożyć swoje służby jego królewskiej mości, któremu to rozkazowi skwapliwie uczyniłem zadość.

– Czy był pan kontent z wyników pobytu króla?

– Zachwycony! Wolno było mieć niejaki obawy co do sposobu, w jaki tak młody jeszcze monarcha wywiąże się z trudnej sytuacji, zwłaszcza w tak delikatnej konfiguracji. Co do mnie, pokładałem pełne zaufanie w politycznym zmyśle młodego suwerena. Ale wyznaję, że przeszedł moje oczekiwania. Toast, który wygłosił w Elizeum i który, wedle informacji z miarodajnego źródła, jest od pierwszego do ostatniego słowa jego dziełem, był w pełnej mierze godny zainteresowania, jakie wszędzie obudził. To było po prostu mistrzowskie posunięcie; nieco śmiałe, przyznaję chętnie, ale ostatecznie wypadki w pełni usprawiedliwiły tę śmiałość. Dyplomatyczne tradycje mają swoje zalety, ale w tym wypadku stworzyły one w końcu między jego a naszym krajem atmosferę duszną, w której niepodobna było oddychać. Otóż, jednym ze sposobów odświeżenia powietrza (oczywiście sposobem, którego nie można zalecać, ale na który król Teodozjusz mógł sobie pozwolić), jest stłuc szyby. I zrobił to z humorem, który oczarował wszystkich, i z celnością słowa, nieomylnie zdradzającą ową kulturalną rasę dynastii, do której król Teodozjusz należy przez matkę. To pewna, że kiedy mówił o „powinowactwach”, łączących jego kraj z Francją, wyrażenie to, choć mało używane w słowniku dyplomatycznym, okazało się niezwykle szczęśliwe. Widzi pan, że literatura nie przeszkadza, nawet w dyplomacji, nawet na tronie – dodał pan de Norpois, zwracając się do mnie. – Sama rzecz, przyznaję to, była skonstatowana od dawna i stosunki między dwoma mocarstwami stały się doskonałe. Ale trzeba było to powiedzieć. Oczekiwano tego słowa; wybrane było cudownie i widzieliście państwo, jaki znalazło oddźwięk. Co się mnie tyczy, oklaskiwałem je ze wszystkich sił.

– Przyjaciół pański, pan de Vaugoubert, który przygotowywał od lat to zbliżenie, musiał być rad.

– Tym więcej, że jego królewska mość, dość świadom tych okoliczności, pragnął mu zrobić niespodziankę. Niespodzianka ta była zresztą zupełna dla wszystkich, począwszy od ministra spraw zagranicznych, któremu (wedle tego, co mi powiadano) nie przypadła ona do smaku. Komuś, kto go o to zagadnął, minister odpowiedział wręcz, dość głośno, aby sąsiednie osoby mogły słyszeć: „Ani się mnie nie radzono, ani mnie nie uprzedzono”, wskazując jasno, że się uchyla od wszelkiej odpowiedzialności w tej mierze. Trzeba przyznać, że incydent narobił ładnego hałasu, i nie śmiałym twierdzić – dodał pan de Norpois ze złośliwym uśmiechem – czy ci z moich kolegów, dla których najwyższym prawem zdaje się być prawo najmniejszego wysiłku, nie uczuli się zakłóceni w swojej inercji. Co się tyczy Vaugouberta, czy pan wie, że on był bardzo atakowany za swoją politykę zbliżenia z Francją i musiał cierpieć nad tym, ile że to jest człowiek bardzo wrażliwy, najtkliwsze serce. Mogę

¹⁰ ukaz (z ros.) – rozporządzenie. [przypis edytorski]

o tym zaświadczyć lepiej niż ktokolwiek, bo mimo że jest ode mnie młodszy, i to znacznie, stykałem się z nim często, jesteśmy starymi przyjaciółmi, znam go dobrze. Zresztą, któż by go nie znał? To kryształ. To nawet jedyna wada, jakiej by się w nim można dopatrzeć; bo nie jest konieczne, aby serce dyplomaty było aż tak przezroczyste. To nie przeszkadza, że mówią o wysłaniu go do Rzymu, co stanowi nie tylko piękny awans, ale i ciężki orzech do zgryzienia. Mówiąc między nami, sądzę, że Vaugoubert, mimo iż tak wyzuty z ambicji, byłby z tego bardzo rad i nie żąda wcale, aby od niego oddalono ten kielich. Dokaże tam może cudów; jest kandydatem Consulty; co do mnie, widzę go bardzo dobrze, z jego artystyczną naturą, w ramie pałacu Farnese i galerii Carraccia. Zdawałoby się, że przynajmniej nikt nie powinien go nienawidzić; ale jest koło króla Teodozjusza cała kamaryla mniej lub więcej zaprzędana w lenno Wilhelmstrasse, strzegąca posłusznie płynących stamtąd inspiracji, starająca się na wszelkie sposoby szyć naszemu przyjacielowi buty. Vaugoubert miał przeciwko sobie nie tylko intrygi kularowe, ale zniewagi najemnych pismaków, którzy później, nikczemni jak każdy płatny skryba, wywiesili białą chorągiew, wprzód nie wahając się wytaczać przeciw naszemu przedstawicielowi bezmyślnych oskarżeń, godnych ludzi z rynsztoka. W ciągu wielu miesięcy wrogowie Vaugouberta tańczyli dokoła niego taniec skalpu – rzekł pan de Norpois, akcentując z siłą to ostatnie słowo. – Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże; Vaugoubert odtrącił te obelgi kopnięciem nogi – dodał ambasador jeszcze energiczniej i ze spojrzeniem tak srogim, że na chwilę przestaliśmy jeść. – Jak powiada piękne przysłowie arabskie: „Psy szczekają, karawana idzie dalej”...

Wyrzuciwszy ten cytat, pan de Norpois zatrzymał się, aby spojrzeć na nas i ocenić wrażenie. Wrażenie było wielkie; znaliśmy to przysłowie. Zastąpiło ono tego roku u ludzi miarodajnych owo drugie: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”, które potrzebowało nieco wypocząć, nie mając tak niestrudzonej żywotności jak to: „Pracować dla króla Prus”. Bo kultura owych znamienitych ludzi była gospodarką płodozmienną, przeważnie trójpolową. Zapewne, cytaty tego rodzaju, którymi pan de Norpois umiał jak nikt okraszać swoje enuncjacje w „Revue des Deux Mondes”, nie były nieodzowną rękojmnią solidności i dobrej informacji tych artykułów. Nawet bez tej okraszy wystarczało, aby pan de Norpois napisał we właściwym momencie (czego nie zaniedbał nigdy): „Gabinet Saint-James nie ostatni zrozumiał niebezpieczeństwo” albo: „Poruszenie było wielkie na Pont-aux-Chartres, gdzie niespokojnym okiem śledzono samolubną, ale zręczną politykę dwugłowej monarchii”, albo „Krzyk na alarm rozległ się z Montecitorio”, lub wreszcie: „Owa wiekuista podwójna gra, najzupełniej w stylu Ballplatz”. Po tych wyrażeniach profan poznawał natychmiast zawodowego dyplomata i oddawał mu pokłon. Ale opinię człowieka będącego czymś więcej niż dyplomata, człowieka o wyższej kulturze, stworzyło panu de Norpois umiejętne posługiwanie się cytatami, których idealnym wzorem był wówczas taki aforyzm: „Róbcie dobrą politykę, a ja wam będę robił dobre finanse, jak zwykł był mawiać baron Louis”. (Jeszcze nie sprowadzono ze Wschodu tego: „Zwycięstwo przypada temu z przeciwników, który umie cierpieć kwadrans dłużej, jak powiadają Japończycy”.) Ta reputacja człowieka wielkiej kultury, połączona z prawdziwym geniuszem intrygi, ukrytym pod maską obojętności, wprowadziła pana de Norpois do Akademii Nauk Politycznych. I pewne osoby myślały nawet, że nie byłby nie na miejscu w Akademii Francuskiej, w dniu, kiedy, chcąc wskazać, iż, zacieśniając sojusz z Rosją, zdołamy dojść do porozumienia z Anglią, pan de Norpois nie zawahał się napisać: „Niechaj to dobrze wiedzą na Quai d'Orsay, niech tego odtąd uczą we wszystkich podręcznikach geografii, bardzo pod tym względem zacofanych, niech palą bezlitośnie przy maturze każdego kandydata, który nie będzie umiał powiedzieć: »O ile wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, w zamian za to droga, wiodąca z Paryża do Londynu, idzie nieodzownie przez Petersburg«”.

– *Summa summarum* – ciągnął pan de Norpois, zwracając się do mego ojca – Vaugoubert uszczknął sobie w tej okoliczności ładny sukces, przechodzący nawet jego uzasadnione nadzieje. Spodziewał się w istocie toastu poprawnego (co, zważywszy chmury tych ostatnich lat, byłoby już bardzo piękne), ale nic więcej. Wiele osób upewniało mnie, że niepodobna, czytając ten toast, zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie sprawił, wygłoszony i znakomicie wypunktowany przez króla,

który jest mistrzem wypowiedzenia i który mówiąc, podkreślał wszystkie intencje, wszystkie finezje. Opowiadano mi przy tej sposobności fakt dosyć pikantny, który jeszcze jeden raz więcej uwydatnia w królu Teodozjuszu ów młodzieńczy wdzięk, jednający mu wszystkie serca. Upewniano mnie, że właśnie przy tym słowie „powinowactwa”, które było w rezultacie olbrzymim nowatorstwem i które będzie jeszcze długo (zobaczy pan) przedmiotem dyplomatycznych komentarzy, jego królewska mość, przewidując radość naszego ambasadora, który miał w tym znaleźć zasłużone uwieńczenie swoich wysiłków, można powiedzieć swoich marzeń, swoją, aby rzec wszystko, buławę marszałkowską, obrócił się w stronę Vaugouberta i wlepiając w niego owo tak ujmujące spojrzenie Oettingenów, podkreślił to tak dobrze wybrane słowo „powinowactwa”, słowo stanowiące prawdziwą rewelację, tonem, który powiadał wszystkim, że użyto tego słowa bardzo świadomie i z pełną odpowiedzialnością. Zdaje się, że Vaugoubert ledwie mógł pohamować wzruszenie i do pewnego stopnia przyznając, że go rozumiem. Osoba ze wszech miar wiarygodna powiedziała mi w zaufaniu, że król zbliżył się do Vaugouberta po obiedzie, kiedy jego królewska mość odbywał *cercle*, i jakoby miał mu powiedzieć półgłosem: „Czy jesteś rad ze swego ucznia, drogi margrabio?”.

– To pewna – zakonkludował pan de Norpois – że podobny toast działał więcej niż dwadzieścia lat rokowań dla zbliżenia dwóch krajów, ich „powinowactw”, wedle malowniczego wyrażenia Teodozjusza II. To jest, mógłby ktoś powiedzieć, tylko słowo, ale widzi pan, jaką karierę zrobiło, jak cała europejska prasa powtarza je, jakie zainteresowanie budzi, jaki nowy dźwięk wydało. Jest zresztą bardzo w stylu tego monarchy. Nie posunę się tak daleko, aby twierdzić, że on co dnia znajduje diamenty tak czystej wody. Ale rzadkie jest, aby w swoich mowach obmyślanych, a jeszcze bardziej w improwizacji swobodnej rozmowy, nie wykazał się jakimś brawurowym powiedzeniem, omal nie rzekłem: nie położył pod nim swojego podpisu. Tym mniej można mnie podejrzewać o stronnictwo, ile że jestem wrogiem wszelkich tego rodzaju innowacji. Dziewięć razy na dziesięć są one niebezpieczne.

– Tak, myślałem sobie, że świeży telegram cesarza Niemiec nie musiał być w pańskim guście – rzekł ojciec.

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba, jakby mówił: „Och! ten...”.

– Po pierwsze – rzekł – to jest akt niewdzięczności. To więcej niż zbrodnia: to błąd i głupota, którą nazwałbym piramidalną! Zresztą, jeżeli nikt tu nie powie: „hola!”, człowiek, który wypędził Bismarcka, bardzo jest zdolny odtrącić stopniowo całą politykę bismarkowską, a wówczas to jest skok w nieznanne.

– Mąż mówił mi, panie ambasadorze, że pan go może porwie gdzieś na wybrzeża Hiszpanii; bardzo jestem szczęśliwa za niego.

– Ależ tak, to uroczy projekt, na który serdecznie się cieszę. Bardzo bym rad odbyć z panem tę podróż, drogi kolego. A łaskawa pani czy już myślała, jak spędzić wakacje?

– Pojadę może z synem do Balbec, nie wiem jeszcze.

– O, Balbec jest miłe, bawiłem tam przelotnie przed paru laty. Zaczynają tam budować wille bardzo eleganckie; sądzę, że okolica spodoba się pani. Ale wolno mi spytać, co skierowało pani wybór na Balbec?

– Syn ma wielką ochotę zobaczyć niektóre tamtejsze kościoły, zwłaszcza kościół w samym Balbec. Bałam się trochę dla niego niewygód podróży, a zwłaszcza pobytu. Ale dowiedziałam się, że zbudowano tam wyborny hotel, co mu pozwoli spędzić czas w warunkach pewnego komfortu, jakich wymaga jego zdrowie.

– A! muszę się podzielić tą informacją z pewną osobą, która nie puści jej pewnie mimo uszu.

– Kościół w Balbec jest cudowny, prawda proszę pana? – spytałem, przewyciężając smutek, jakim przejęła mnie wiadomość, że jednym z uroków Ballbec są eleganckie wille.

– Nie; niebrzydki jest, ale ostatecznie nie może wytrzymać porównania z iście jubilerską robotą takiej katedry w Reims, w Chartres i (na mój smak) perły wśród wszystkich, Sainte-Chapelle w Paryżu.

– Ale kościół w Balbec jest po części romański?

– W istocie, jest w stylu romańskim, który już sam przez się jest raczej zimny i niczym nie zapowiada wykwintu i fantazji architektów gotyckich, umiejących wystrzygać kamień jak koronkę. Kościół w Balbec wart jest zwiedzenia, o ile ktoś bawi w tamtych stronach; jest dosyć ciekawy; jeżeli któregoś dziedzistego dnia nie będzie pan miał nic do roboty, może pan tam zajść, zobaczy pan grobowiec Tourville'a.

– Czy pan był wczoraj na bankiecie Spraw Zagranicznych? Ja nie mogłem iść – spytał ojciec.

– Nie – odparł pan de Norpois z uśmiechem – wyznaję, że poniechałem go dla wieczoru o dość odmiennym charakterze. Byłem na obiedzie u kobiety, o której pan może słyszał: u pięknej pani Swann.

Matka powstrzymała wzdrygnięcie się, wrażliwość jej bowiem, bardziej chyża, niepokoiła się za ojca o wszystko, co jego miało osiągnąć aż w chwilę potem. Przykrości, które go spotykały, odczuwała wprzód, niby owe złe nowiny z Francji wcześniej znane za granicą niż u nas. Ale ciekawa, jakiego rodzaju osoby Swannowie mogą przyjmować, spytała pana de Norpois, kogo tam spotkał.

– Mój Boże, to jest dom, gdzie bywają zwłaszcza... panowie. Było tam kilku mężczyzn żonaty, ale żony ich były tego wieczora cierpiące i nie przyszły – odparł z dobroduszną finezją ambasador, rzucając dokoła spojrzenia, których spokój i dyskrecja niby to łagodziły, a w gruncie podkreślały złośliwość.

– Muszę dodać – rzekł – aby być zupełnie sprawiedliwym, że bywają tam i kobiety, ale... należące... jakby to powiedzieć, raczej do świata republikańskiego niż do świata Swanna – (ambasador wymawiał: **Suann**). – Kto wie? to będzie może kiedyś salon polityczny albo literacki. Zresztą zdaje się, że oni są zadowoleni. Uważam, że Swann nawet to zbytnio okazuje. Wymieniał ludzi, do których oboje z żoną zaproszeni są w przyszłym tygodniu, a z których zażyłości nie ma powodu się chlubić; i czynił to z brakiem miary, smaku, niemal taktu, który mnie zdziwił u człowieka tak subtelnego. Powtarzał: „Nie mamy ani jednego wieczoru wolnego”, jakby to była chluba, i jak prawdziwy parweniusz, którym przecież nie jest. Bo Swann miał wielu przyjaciół, nawet przyjaciółek, i nie posuwając się za daleko, ani pragnąc popełniać niedyskrecję, mogę powiedzieć, że nie wszystkie, ani większość z nich, ale co najmniej jedna, bardzo wielka dama, nie byłaby może całkowicie oporna ewentualności nawiązania stosunków z panią Swann, w którym to wypadku niejedna z owiec Panurga poszłaby za nią. Ale zdaje się, że nie było ze strony Swanna ani nawet próby usiłowań w tym kierunku. Jak to! jeszcze pudding *à la* Nesselrode! To grozi Karlsbadem, jako ekspiacją za taką ucztę Lukullusa! Może Swann uczył, że trzeba by zwalczyć za wiele trudności. Małżeństwo jego, to fakt, nie zyskało uznania. Mówiono o majątku żony, co jest oczywiście brednia. Ale w sumie, wszystko to nie wydało się przyjemne. A potem Swann ma ciotkę, nadzwyczaj bogatą i znakomicie ustosunkowaną, żonę człowieka, który, biorąc finansowo, jest potęgą. I nie tylko ta ciotka odmówiła przyjmowania pani Swann, ale podjęła formalną kampanię, aby jej przyjaciółki i znajome zrobiły toż samo. Nie chcę przez to powiedzieć, aby którykolwiek prawdziwy paryżanin uchybił kiedy pani Swann... Nie! po sto razy nie! Zresztą, mąż jest człowiekiem, który by podjął rzuconą rękawiczkę. W każdym razie ciekawym zjawiskiem jest, jak dalece Swann, który ma tyle stosunków i to najwyborniejszych, zabiega o towarzystwo, o którym najmniej, co można by powiedzieć, to, że jest bardzo mieszane. Ja, który znałem go niegdyś, wyznaję, że z równym zdziwieniem jak zabawą patrzę na człowieka tak dobrze wychowanego, tak dobrze widzianego w koteriach najbardziej przesianych przez sito, który dziękuje gorąco szefowi gabinetu ministra poczty za to, że przyszedł do nich, i pyta go, czy pani Swann **wolno będzie** odwiedzić jego żonę! Musi przecież czuć się tam obco: jasna rzecz, że to nie jest ten sam świat. Nie zdaje mi się jednak, aby Swann był nieszczęśliwy. Były, to prawda, w latach poprzedzających jego małżeństwo, próby dość brzydkiego szantażu ze strony jego żony; pozbawiała Swanna widoku córki, ilekroć jej czegoś odmawiał. Biedny Swann, równie naiwny, jak jest skądinąd rafinowany, uważał za każdym razem zniknięcie córki za przypadek, nie chciał widzieć rzeczywistości. Pani Odeta robiła mu przy tym sceny tak ustawiczne, że zdawało się,

iz w dniu, gdy osiągnie wreszcie swój cel i doprowadzi Swanna do małżeństwa, nie będzie już miała żadnego hamulca i życie ich stanie się piekłem. I ot! stało się zupełnie przeciwnie. Ludzie żartują sobie ze sposobu, w jaki Swann mówi o żonie, ostrzą sobie języki na nim. Nie spodziewano się, rzecz prosta, aby Swann, nawet mniej lub więcej świadomy, że jest... (znacie państwo termin Moliera), proklamował to *urbi et orbi*; co nie przeszkadza, że wydaje się przesadą, kiedy ten mąż głosi, iż jego połowica jest wyborną żoną. Otóż to nie jest tak dalekie od prawdy, jak by ktoś mógł mniemać. Na swój sposób (nie jest to sposób, jakiego by sobie życzyli wszyscy mężowie, ale ostatecznie, mówiąc między nami, wydaje mi się trudne, aby Swann, który znał Odetę od dawna i który wcale nie jest dudkiem, nie wiedział, co ma o tym sądzić), na swój zatem sposób, nie ulega wątpliwości, że ona jest do niego przywiązana. Nie mówię, aby nie miała swoich awanturek, i Swann też ich sobie nie odmawia, o ile wierzyć zacnym językom, które (możecie państwo zgadnąć) nie próżnują. Ale ona mu jest wdzięczna za to, co dla niej zrobił i, na wspak obawom całego świata, zdaje się, że się stała istotą anielskiej słodyczy.

Zmiana ta nie była równie niezwykła, jak mniemał pan de Norpois. Odeta nie przypuszczała, że się z nią Swann w końcu ożeni; za każdym razem, kiedy mu oznajmiała dyplomatycznie, że jakiś dystygowany człowiek zaślubił swoją kochankę, widziała, że Swann zachowuje lodowate milczenie. Co najwyżej, kiedy go zagadnęła wprost, mówiąc: „Więc ty nie uważasz, że to bardzo dobrze, bardzo pięknie, to co on zrobił dla kobiety, która mu poświęciła młodość?” – Swann odpowiadał sucho: „Ależ ja wcale nie mówię, że to jest źle; każdy robi, co uważa za właściwe”. Odeta nie była nawet daleka od przypuszczenia, że, jak jej to Swann powtarzał w momentach gniewu, porzuci ją zupełnie. Słyszała bowiem niedawno, jak pewna rzeźbiarka mówiła: „Można się wszystkiego spodziewać po mężczyznach, to takie chamy”, i Odeta, uderzona głębią tej pesymistycznej maksymy, przyswoiła ją sobie, powtarzała ją przy każdej sposobności z miną zrezygnowaną, która zdawała się mówić: „Ostatecznie, nie ma w tym nic niemożliwego, takie moje szczęście”. Tym samym straciła dla Odety wszelką wartość optymistyczna maksyma, przyświecająca jej dotąd: „Wszystko można zrobić z mężczyzną który kocha, to tacy idioci!”. Myśl ta wyrażała się na jej twarzy przymrużeniem oczu, które mogłoby towarzyszyć wyrazom np. takim: „Nie bójcie się, nic nie potłucze”.

Na razie Odeta cierpiała, myśląc, co jakaś przyjaciółka, zostawszy żoną człowieka, który żył z nią krócej niż ona ze Swannem i który nie miał z nią dziecka, obecnie (o tyle, o ile) poważana, zapraszana na bale do prezydenta Republiki, musi myśleć o postępowaniu Swanna. Diagnosta głębszy od pana de Norpois poznałby z pewnością, że właśnie to poczucie upokorzenia i wstydu skwasilo Odetę; że ten piekielny charakter nie był jej wrodzony, że nie był złem bez ratunku. Ten diagnosta przepowiedziałby z łatwością to, co się stało; mianowicie, że nowy ustrój, ustrój matrymonialny, z magiczną niemal szybkością położy koniec owym zjawiskom przykrym, codziennym, ale zgoła nie organicznym.

Prawie wszyscy dziwili się temu małżeństwu, i to jest właśnie zadziwiające. Bez wątpienia, mało kto rozumie na wskroś subiektywny charakter zjawiska, jakim jest miłość, stwarzająca jak gdyby nową osobę, różną od tej, która w świecie nosi to samo nazwisko. Większość składników tej nowej osoby czerpiemy z siebie samych. Toteż mało komu mogą się wydać naturalne olbrzymie proporcje, jakie przybiera w końcu dla nas istota niebędąca tą samą, którą widzą oni. Mimo to, co się tyczy Odety, można było sobie zdać sprawę z tego, że o ile – rzecz prosta – nigdy nie pojęła całkowicie inteligencji Swanna, znała bodaj tytuły i szczegóły jego prac, tak że nazwisko **Ver Meer** było jej tak poufale jak nazwisko własnego krawca; znała w Swannie do gruntu owe cechy charakteru, których reszta świata nie zna albo je ośmiesza, a których podobny i kochany obraz posiada jednie kochanka lub siostra; my zaś tak jesteśmy przywiązani do owych cech, nawet do tych, z których najbardziej chcielibyśmy się poprawić! Przez to, że kobieta przyzwyczaja się do nich w końcu, odnosząc się do nich w sposób pobłażliwy i przyjacielsko drwiący, podobny do sposobu, w jaki my traktujemy samych siebie i w jaki traktują nas rodzice, takie dawne stosunki mają coś ze słodyczy i z siły przywiązań rodzinnych. Więzy łączące nas z jakąś istotą, uświęca to, że owa istota, sądząc nasze przywary, staje

na tym samym punkcie, co my sami. Pomiedzy swoistymi rysami Swanna, niektóre wynikały tyleż z jego inteligencji, co z charakteru, i te właśnie, dlatego że mimo wszystko tkwiły w charakterze, Odeta zrozumiała łatwiej. Skarżyła się, że kiedy Swann występuje jako pisarz, kiedy ogłasza swoje studia, nie odnajduje się tych rysów, jak w jego listach lub w rozmowie, gdzie ich było pełno. Radziła mu, aby im dał więcej miejsca. Pragnęłaby tego, bo to były rysy, które w nim lubiła; ale, ponieważ je lubiła dlatego, że były bardziej jego własne, może miała rację, pragnąc, aby się wyrażały w tym, co on pisze. Może też sądziła, że utwory bardziej żywe, dając wreszcie Swannowi sukces, pozwolą jej stworzyć sobie to, co nauczyła się u Verdurinów cenić ponad wszystko: salon.

Pomiedzy ludźmi, którym takie małżeństwo wydawało się śmieszne, ludźmi, którzy, myśląc o samych sobie, zapytywali się: „Co pomyśli pan de Guermantes, co powie Bréauté, kiedy zaślubię pannę de Montmorency?” – pomiedzy ludźmi mającymi ten typ socjalnego ideału, byłby się dwadzieścia lat wprzód znalazł sam Swann; Swann, który zadał sobie tyle trudów, aby wejść do Jockey Clubu, i który liczył w owym czasie na świetne małżeństwo, zdolne, umacniając jego sytuację, uczynić go jedną z najbardziej znanych osobistości paryskich. Ale obrazy, jakie oczom zainteresowanego nastrocza takie małżeństwo, aby nie zmarnieć i nie zatrzeć się, potrzebują jak wszystkie obrazy – podniety z zewnątrz. Najwyższym waszym pragnieniem jest upokorzyć człowieka, który was znieważył. Ale jeżeli, osiadłszy w innym kraju, nie będziecie już nigdy słyszeli o nim, wróg ten przestanie mieć w końcu dla was wszelkie znaczenie. Jeżeli w ciągu dwudziestu lat straciło się z oczu wszystkie osoby, z powodu których chciałoby się być członkiem Jockey Clubu lub Instytutu, perspektywa dostania się do jednego z tych ugrupowań zupełnie przestanie być kusząca. Otóż, tak samo jak przejście w stan spoczynku, jak choroba, nawrócenie, tak samo długi stosunek z kobietą zastępuje dawne obrazy nowymi. Kiedy Swann zaślubił Odetę, nie było to z jego strony wyrzeczeniem się światowych ambicji, bo od dawna Odeta – w duchowym znaczeniu słowa – oderwała go od tych ambicji. Zresztą, gdyby nawet tak się nie stało, Swann miałby tylko większą zasługę. Takie hańbiące małżeństwa, dlatego właśnie, że dla słodczy czysto poufnych każą nam rezygnować z mniej lub więcej pochlebnej sytuacji życiowej, są najgodniejsze szacunku. (Nie można za małżeństwo hańbiące uważać małżeństwa dla pieniędzy, bo nie było przykładu związku, w którym żona albo mąż się sprzedali, aby w końcu świat nie zaczął przyjmować ich, choćby z tradycji i na wiarę tylu przykładów, i aby nie mieć dwóch wag i dwóch miar).

Może skądinąd, przez zmysł artysty, jeżeli nie przez rozpustę duchową, Swann byłby w każdym wypadku znajdował pewną rozkosz w tym, aby się sparzyć – w jednym z krzyżowań uprawianych przez **mendelistów** lub znanych z mitologii – z istotą odmiennej rasy, arcyksiężniczką lub kokotą; wejść w parantele królewskie lub popełnić mezalians. Była w świecie jedna jedyna osoba, o której myślał za każdym razem, gdy rozważał możliwość związku z Odetą; była to – i nie przez snobizm – księżna Oriana de Guermantes. Przeciwnie, Odeta dbała o księżnę bardzo mało, myśląc jedynie o ludziach położonych bezpośrednio wyżej, nie zaś żyjących w tak mglistym empireum. Ale kiedy Swann w godzinach dumań widział Odetę jako swoją żonę, nieodmiennie wyobrażał sobie chwilę, gdy ją zaprowadzi – ją, a zwłaszcza swoją córkę – do księżnej des Laumes, która niebawem, wskutek śmierci teścia, stała się diuszessą de Guermantes. Nie pragnął ich wprowadzić gdzie indziej, ale rozczulał się, kiedy sobie roił (dobierając nawet słów) wszystko, co księżna powie o nim Odecie, a Odeta pani de Guermantes; czułość, jaką księżna okaże Gilbertcie, rozpieszczając ją, czyniąc go dumnym ze swojej córki. Odgrywał sam przed sobą scenę prezentacji z tą samą ścisłością urojonych szczegółów, jaką mają ludzie rozważający, jak by w razie wygranej zużyli sumę, której wysokość oznaczają do woli.

W tej mierze, w jakiej obraz towarzyszący naszemu postanowieniu motywuje je, można powiedzieć, że, jeżeli Swann ożenił się z Odetą, to dlatego, aby ją i Gilbertę przedstawić księżnej de Guermantes – choćby przy tym nikogo miało nie być, choćby nawet nikt nigdy nie miał się dowiedzieć o tym. Ujrzymy, iż ta jedyna światowa ambicja, jaką żywił dla żony i córki, była właśnie tą, której ziszczenia mu odmówiono, i to tak absolutnie, że Swann umarł, nie przypuszczając,

aby księżna Oriana miała kiedykolwiek poznać jego panie. Ujrzymy też, iż przeciwnie, pani de Guermantes zbliżyła się z Odetą i Gilbertą po śmierci Swanna. I może Swann okazałby rozsądek – w przypuszczeniu, że mógłby przykładać wagę do tak błahej rzeczy – nie widząc przyszłości zbyt czarno w tej mierze i wierząc, iż upragnione spotkanie może nastąpić wówczas, gdy on już nie będzie się nim mógł cieszyć. Działanie przyczynowości, wydające w końcu mniej więcej wszystkie możliwe następstwa, tym samym i te, które byśmy uważali za najmniej możliwe, działanie to jest czasem powolne – powolniejsze nieco wskutek naszych pragnień, które, starając się je przyśpieszyć, hamują je przez fakt samego naszego istnienia – i ziszcza je dopiero wówczas, kiedy przestaliśmy pragnąć, a niekiedy i żyć. Czyż Swann nie wiedział tego z doświadczenia i czy – niby przedsmak tego, co się miało zdarzyć po jego śmierci – nie było już w jego życiu szczęściem pośmiertnym małżeństwo z ową Odetą, którą dawniej tak namiętnie kochał – mimo że mu się nie podobała z pierwszego wejrzenia – a którą zaślubił wówczas, gdy jej już nie kochał, kiedy umarła już istota tak rozpaczliwie w Swannie pragnąca przeżyć całe życie z Odetą?

Zacząłem mówić o hrabi Paryża, pytając, czy to prawda, że jest przyjacielem Swanna, tak bardzo obawiałem się, aby rozmowa nie odbiegła od jego osoby.

– Owszem, w istocie – odparł pan de Norpois, zwracając się do mnie i wlepiając w moją skromną osobę błękitne spojrzenie, w którym pływały, niby w swoim osoczu, jego wielka zdatność do pracy i zdolność przystosowania się. – Och, Boże – dodał, zwracając się na nowo do ojca – nie sądzę, abym przekraczał granice szacunku, jaki żywię dla krwi monarszej (mimo iż nie utrzymuję z jego wysokością stosunków osobistych, które utrudniłyby moją sytuację, choćby tak mało oficjalną), cytując panu pewien fakt dość pikantny. Otóż, nie dawniej niż przed czterema laty, na stacyjce kolei żelaznej w jednym z krajów centralnej Europy, jego królewska wysokość miał sposobność ujrzeć panią Swann. Z pewnością nikt z bliskich nie pozwolił sobie pytać jego wysokości, jak mu się wydała. To by nie było przystojne. Ale, ilekroć jakiś traf konwersacji przywodził nazwisko tej osoby, wówczas, po pewnych oznakach (niedostrzegalnych, powiedzmy, ale nieomylnych) jego wysokość zdawał się dość chętnie dawać do zrozumienia, że w sumie wrażenie zgoła nie było niekorzystne.

– Ale czy nie było możliwości przedstawienia jej hrabiemu Paryża? – spytał ojciec.

– Ba! nie wiadomo, z tymi królewietami nigdy nie można wiedzieć – odparł pan de Norpois – najdumniejszy z nich, ci, co najbardziej umieją żądać tego, co się im należy, często najmniej się troszczą o sądy opinii, nawet najśluszniesze, z chwilą gdy chodzi o to, aby wynagrodzić pewne przywiązanie. Otóż faktem jest, że hrabia Paryża zawsze bardzo łaskawie przyjmował oddanie Swanna, który jest poza tym człowiekiem ze wszech miar inteligentnym.

– A jakie było pańskie wrażenie, panie ambasadorze? – spytała matka przez grzeczność i z ciekawości.

Z energią starego znawcy, odbijającą od zwykłego umiaru w jego sposobie mówienia, pan de Norpois odparł:

– Jak najdodatniejsze¹¹

¹¹ *najdodatniejszy* – dziś popr.: najbardziej dodatni. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.